№ 34. Warszawa, dnia 13 (25) Sierpnia 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

Sebastyan Fabian Klonowicz.

Drogi i zawady przystępne dla nieszlachty w dawnej Polsce. Życiorys Klonowicza. Wpływy zewnętrzne na twórczość poetycką Klonowicza: swojskość i satyryczność jego poezyi. Ogólne zalety i wady utworów Klonowicza. Rozbiór poematu Flis. Rozbiór Worka Judaszowego. Roxolania. Victoria Deorum. (Zwycięztwo Bogów). Pomniejsze i podrzędne utwory polskie i łacińskie Klonowicza.

II.

(Dalszy ciąg).

W rozdziale „O ludokupstwie“ malowniczo opowiada sprawki handlarzy z ludźmi, na Węgrzech „martahuzami“ zwanych, którzy poszukiwali niby zdolnych robotników i rzemieślników, poili ludzi, a potem sprzedawali ich w Budzyniu (część Węgier z Budą czyli Budzyniem należała wtedy do turków). Pijaństwo więc to głównie podaje ludzi w niewolę, na co skarży się poeta następnemi słowy:

Otóż tobie pijaństwo, kuflu nieboraku!
Przywiódł cię brzuch bezecny do takiego haku.
Przedałeś drogą wolność za szklanicę wina,
zostałeś niewolnikiem srogiego turczyna.
Dziwujże się tu ptakom z inszemi zwierzęty,
że często gardło dają dla marnej pęnęty,
gdy oto i chłop głupi, dla nędznego brzucha
wpada w ciężką niewolę jako w smołę mucha,
jako ptaszek na rózgę lepem powleczoną,
jako ryba na wędę w glistę obleczoną.

Czasem martahuz wywiedzie robotnika na rynek i „insze mówi z nim po słoweńsku“ a z turkiem „insze po saraceńsku“ i tak go podstępem sprzedaje. Takiego martahuza porównywa poeta z Judaszem „z miedzianą brodą i wąsem mosiądzowym“ o którym mówi, że gdy szedł zdradzać Chrystusa do ogrójca, „bardziej judaszowa broda świeciła niż pochodnia.“

O Judaszu, mówi poeta bardzo często, przy każdej sposobności, i to bardzo rozwlekle.

Na zakończenie rzeczy „o skórze wilczej“ poeta szeroko prawi „o przyczynach wszego złego, to jest o próżnowaniu, rozkoszy i z nich pochodzącem ubóstwie.“ Wiele tu obrazów bardzo trafnych i udatnych jak np.

Bowiem człowiek leniwy leży, siedzi, stoi,
ni się ludzi nie wstydzi, ni się Boga boi.
Zimie przy piecu drzymie, a lecie na słoniu (słońcu)
. . . .
Wstawszy, przechadzki stroi, bawi się wieściami
niepożytecznemi się para powieściami.
Jemu być na weselu, jemu na pogrzebie,
jemu pierwiej niż komu sieść na cudzym chlebie.
On idzie za trębaczem, on idzie za dudą,
on się dziwować idzie za lada obłudą. (figlem?)
On wie, gdzie komedya na cudzym obiedzie,
gdzie trąbią niedźwiednicy, tańcują niedźwiedzie.
On wie, kto w miasto wjechał, jako wiele koni
w jakiej barwie, co za strój, co mają za broni,
jako zową, gdzie jadą, gdzie mają gospodę,
jako pan urodziwy, jako strzyże brodę i t. d.

A dalej:

Więc w owem próżnowaniu zachce się rozkoszy:
wstawszy, idzie do karczmy, jeśli ma co groszy;
tam każe piwo nosić, z zazbania wygląda,
a na przyszłe się czasy najmniej nie oszczędza.
Często się przypatrując, w karcięta się wprawi,
o szczudłki, o orzechy, potem grosze stawi i t. d.
Więc przyjdzie za tem hańba, nędza, niedostatek,
odstąpienie przyjaciół i wszytek niestatek.
Tu się już do kradzieży otwierają wrota,
gdy żebrać u kościoła młodemu sromota i t. d.

W części drugiej „O skórze i naturze lisiej“ mówi poeta o tych, którzy oszukują pod pozorem nabożeństwa, o szalbierskich kwestach, o nadużyciach żebractwa i różnych fałszerzach, oszustach i gachach, którzy się do cudzych domów wkręcają i na cudze mienie polują. Część to może z całego poematu najudatniejsza, pełna obrazów dosadnych, z życia wziętych i energicznym językiem wypowiedzianych. Tak np. mówi poeta o fałszywym kwestarzu:

Nosi puszkę żelazną, dzwonek mosiądzowy,
prosi rzkomo na szpital i na kościół nowy;
prosi chytry nieborak na jakiego świątka,
chocia z tamtej jałmużny nie da mu i szczątka.
Czasem zmyśli na błoniu i w boru zjawienie:
widziałem, pry (prawi), pod lasem miłą matkę bożą;
(a baby się słuchając owych baśni, trwożą);
wielka światłość wynikła w choinowym borku,
na pieńku nowo ściętym, na cudnym pagórku.
Więc on niezbędny oszust twierdzi za rzecz istą,
Że widział własnem okiem Dziewicę Przeczystą,
która mu rozkazała chwałę bożą mnożyć
i tam na onem miejscu kościołek założyć.

Poeta zapewnia, że oszustwa dopuszczali się także kwestujący w kościołach podczas nabożeństwa słudzy kościelni, wówczas „wytrykusami“ zwani.

Dalej prawi nasz autor o żebractwie. „W XVII wieku (powiada Kraszewski w „Nowych studyach literackich“) żebractwo było prawie rzemiosłem i niezłem: ogromne hordy dziadów włóczyły się z odpustu na odpust, wróżąc, śpiewając, czasem kradnąc, czasem strasząc, a zawsze obławiając się nieźle po drodze. Następca jaki polski Walterskotta wielceby mógł korzystać z tych postaci tak dziwacznych, tak oryginalnych, dziadów i bab, przynajmniej tyle zajmujących co szkocey u sławnego baroneta, a irlandzcy u Banima, nic nie zmyślając, znalazłby je gotowe w broszurach XVII wieku.“

W poemacie Klonowicza nieszczupły także przyczynek do obrazu żebractwa w dawnej Polsce. Przytoczymy tu mały wyjątek:

Lecz też na drugą stronę najdują się mnodzy
Bogu, ludziom nieprawi, dziwacy ubodzy.
Jedni żebrzą niesłusznie, i duzi i zdrowi,
chytrzy, zakapturani, mamią ludźmi owi.
Zakrywa się kostyra, złodziej w sprosnych szmatach,
Zakrywa się niecnota młody w starych latach;
obwija ręce, nogi, chocia go nie bolą,
mogąc rzemięsło robić, mogąc orać rolą.

Czyni się głuchym, niemym, ślepym i kaducznym,
A on łotrem wierutnym i przechyrą sztucznym.
Także też baby rzkomo *mendicatum* (żebrać) chodzą,
Tak uczciwe mężatki i panienki zwodzą.
Czarują i lekują, wróżą, wieści noszą.
stadło łączą, a w rzeczy o jałmużnę proszą.
Najdziesz wiele opiłych, szalonych żebraków,
chocia chorych, ułomnych i rozpustnych żaków,
zazdrościwych, świarliwych, gnojków i kalików.
stupków ( ) i też piecuchów, szubrawców i smyków,
którzy za łby o miejsce, o jałmużnę chodzą.
mocniejszy nad słabszymi częstokroć przewodzą.
Koszturami szemrają, czasem się i ranią,
czasem w robocie bywa groch i piwo z banią;
nie masz zgody i rządu: ludzi odtrącają
od jałmużny; kulami, kijmi wykręcają. i t. d.

Jest tu także ustęp o pielgrzymach polskich, którzy, jak mówi poeta, w obcych krajach nieosobliwy rozgłos zyskali i szkodzą tem sławie całego narodu.

Do trzeciej części worka „O skórze i naturze rysiej“ poeta rachuje wszelkie prawne i pieniackie wybiegi, podstępy i wykręty. Szeroko tu na samym początku oburza się na zwykłe wyróżnienie tego co „prawne“ i co „sprawiedliwe“, utrzymując, że to tylko może być prawnem, co jest sprawiedliwem. Ciekawem tu jest humorystyczne opowiadanie o mnichu przy łożu konającego: korzystając z tego, że chory, nie będąc już całkiem przytomnym, na wszystko odpowiadał wyrazami: „tak jest“ przebiegły mnich, podsuwał mu takie zapytania jak np. „wszak ty naszej braci legujesz tysiąc złotych?“ i t. p. aż wreszcie obecni przy tem krewni umierającego, zapytali się go, czy mają za drzwi wyrzucić mnicha, a otrzymawszy również odpowiedź „tak jest“ niebawem to uskutecznili.

Czwarta i ostatnia część „Worka Judaszowego“— „O skórze lwiej“ miała zapewne zawierać obraz nadużyć magnatów i szlachty, ale poeta, uląkłszy się cofnął się przed tak śmiałem zadaniem i owa rzecz o skórze lwiej zawiera tylko 8 wierszy, w których poeta swą bojaźń wypowiada:

Strach o tej skórze pisać, bo ta groźba strachem
narabia, iż tak mówić mam prostym odmachem
Więc mamli o niej pisać — namyślę się za tem,
bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym;
a na ten czas odchodzę.

Przejdźmy teraz do dwóch głównych poematów Klonowicza.

„Roxolania“, którą postawiliśmy obok polskiego Flisa, jest to opis ziem Rusi Czerwonej, jej płodów, miast, zajęć i obyczajów jej ludności. Niewielkich to rozmiarów utwór, ale poeta umiał dotknąć w nim pokrótce rzeczy najważniejszych, najbardziej malowniczych i najpoetyczniejszych, a przedstawił je w obrazach tak wiernych i prostych, lecz zarazem wytwornych, owiał je takiem ciepłem miłości ku ziemi rodzinnej, że Roxolanią, jako poemat czysto narodowy, można uważać za prawdziwy klejnot i za najpiękniejszy utwór muzy Acerna. Tembardziej więc nieodżałowana to szkoda, że poeta dla przedmiotu rodzimego obrał język martwy i ludowi obcy; prawdopodobnie uczynił to dla tego, że chciał aby i cudzoziemcy dowiedzieli się czegoś o umiłowanym przezeń kraju ojczystym. Wprawdzie i jako utwór łaciński, wzorowym językiem i dziwnie gładkim wierszem (elegijnym hexametrem i pentametrem) skreślony, Roxolania posiada wysokie zalety, ale wkrótce po wydrukowaniu (1584 r. w Krakowie u Andrzeja Piotrkowczyka) poszła w zapomnienie: niebardzo ją widać czytali nawet rozumiejący po łacinie, skoro drugiej edycyi dotychczas nie było, tak że utwór ten w oryginale należy do wielkich rzadkości. Dla literatury krajowej, Roxolania była tem bardziej i zupełnie straconą aż do 1851, gdy Władysław Syrokomla przywrócił niejako ten utwór literaturze polskiej wydawszy piękne tłomaczenie polskie (Przekłady poetów polsko-łacińskich tomik III). Wielka to zasługa litewskiego lirnika, chociaż należy wyznać iż jego przekład, choć posiadający wysokie zalety poetyczne, pozostawia bardzo wiele do życzenia pod względem wierności. Pomimo bowiem że Syrokomla w przedmowie do swego przekładu zapewnia, że starał się o jak największą wierność oryginałowi, porównywając jednak ten ostatni z przekładem, dostrzegamy że tłomaczenie Syrokomli jest bardzo wolnem, jest to zapewne z rozmysłu, ilekroć wyrażenia oryginału nie zgadzały się z pewnym już ustalonym kierunkiem nowożytnego polotu poetyckiego, właściwego talentowi Syrokomli, już to, niestety, z powodu że Kondratowicz nie był dość biegłym w łacinie, gdyż przekładu wiernego mógłby się podjąć tylko specyalny znawca starożytności, nie zaś mierny pod tym względem samouczek. Jako dowód, przytoczymy tu jeden tylko kilkowierszowy ustęp. Mówiąc o tem, jak włościanin ruski łazi po drzewach, zbierając potrzebną sobie do sideł na ptaszki jemiołę, Klonowicz powiada dosłownie: „wierzymy że pod spodem ziemi wiszą antypody, ale i *ruska kraina widzi* (to jest *posiada* wielu antypodów. Pasterz bowiem *nogami zwrócony jest ku niebu*, a u dołu *głową* zwrócony jest ku podziemnym otchłaniom (piekła) i nie obawia się grożącej śmierci (z powodu możliwego upadku). Syrokomla ten ustęp tak tłomaczy:

Wierzym w podstopnej ziemie antypody;
ów śmiały *pasterz widzi je* naocznie:
głowę ma w chmurach, a przepaść pod nogą.

Tłomacz więc, pomijając już opuszczenie krańcowych wyrazów oryginału, nadaje głowie i nogom pasterza kierunek *całkiem przeciwny* opisanemu przez poetę, a jakich to antypodów *pasterz widzi* naocznie — pozostaje zupełnie niezrozumiałą zagadką. Rażący ten błąd tłomacza pochodzi zapewne w części ztąd, iż nie zrozumiał, że słowo *widzi* (videt) znaczy tu tyleż co *posiada* a wyraz *vertex* (tu wierzchołek) wziął w znaczeniu *przepaści*. Może jeszcze wprowadziła tłomacza w błąd nieświadomość tej okoliczności, że chociaż obecnie, wskutek należytych pojęć o kulistości ziemi, wiemy że antypody czyli mieszkańcy drugiej półkóli mają, tak samo jak my, ziemię pod nogami i niebo nad głowami, to jednak w tradycyach starożytnych i średniowiecznych uważano antypodów za chodzących głową na dół i jak wiadomo, był to jeden z argumentów przeciwko kulistości ziemi. O prawach ciążenia wtedy, oczywiście, nie słyszano.

Pomimo tej ważnej wady, mając do wyboru między prozą dosłownego tłomaczenia z oryginału i poetycznym przekładem Syrokomli, przytoczymy kilka ustępów z tego ostatniego, ze względu na czytelniczki. Zresztą i przekład Syrokomli mało jest poczytny, a dziś prawie nieznany, a że i w historyach literatury znajdujemy tylko krótkie wzmianki o Roxolanii (w najnowszej i obszerniejszej przez L. Sowińskiego I. 328 mamy tylko cztery wiersze wzmianki o Roxolanii i przytoczonej z przekładu Syrokomli ustęp o 14 wierszach), podamy więc w krótkości streszczenie tego poemaciku.

(*d. c. n*).

Naucz mnie.

Naucz mnie dążyć do celu,
Mimo kolców przeszkód wielu,
Jakie sterczą na mej drodze,
Silną piersią łamać skały,
Pokonywać los niestały,
Który mnie zawodzi srodze.

Wskaż jak przejść życie bez lęku,
Znosić cierpienia bez jęku,
I dojść do kresu bez drżenia,
Mów jak serca silne bicie,
Ma zamilczeć w piersi skrycie.
I jak mam tłumić westchnienie.

Naucz mnie żyć dla ludzkości,
Rozniecać płomień miłości,
Wskaż przedmioty do kochania,
Rozprosz próżnych ułud roje,
Daj mi poznać prawdy zdroje,
Otwórz pole do działania.

A jeśli w zwycięztw przedświcie
Zacznie ulatywać życie,
I padnę w połowie drogi,
Gdy serce pragnąć przestanie,
Przypomnij mi zmartwychwstanie,
Naucz umierać bez trwogi.

O i wtedy raz ostatni,
Prześlij za mną głos twój bratni,
I gdy z rosą na mogiły
Kwiatki schylą swe kielichy,
Odmów jeszcze pacierz cichy —
Za tę — której brakło siły.

Eliza R.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

LIST XII.

Adam do Jerzego.

Ongród, 18 Stycznia.

Mój drogi Jerzy! Posyłam Ci przy tym liście spis książek, który bądź tak dobry, zanieś księgarzowi G. z prośbą ode mnie aby żądane dzieła wysłał mi jak najprędzej.

Jestem zdrów zupełnie i pogrążony w pracach i kłopotach różnego rodzaju. Pacyentów mam tylu ile jest gwiazd na niebie. Z władzami administracyjnemi staczam formalne boje o reformy w hygienicznych urządzeniach miejskich. Towarzystwo lekarskie w Ongrodzie otrzymało już zatwierdzenie władz należnych i odbywa posiedzenia swe którym ja przewodniczę.

Zlituj się, niech mi G. coprędzej książki przesyła bo na gwałt potrzebnemi są one, nie tyle mnie ile kolegom moim, którzy o istnieniu ich i zawartości naocznie przekonać się pragną.

Adam.

LIST XIII.

Jerzy do Adama.

Warszawa, 20 Stycznia.

Otrzymawszy list twój, kochany Adamie, przekląłem Lacedemończyków którzy wymyślili lakonizm. Nie lubię takich listów z których wyczytując że ktoś jest zdrów, wątpić przecież muszę o zupełności i wszechstronności tego zdrowia. Obchodzi mię bardzo Towarzystwo lekarskie w mieście Ongrodzie i przez miłość dla cierpiącej ludzkości cieszę się z reform mających utrwalić rumianość policzków i muskularność członków sławetnych mieszkańców

tego miasta. Nierównie jednak żywiej zajmuje mię wszystko co cię bezpośrednio dotyczy i zły jestem że tak nagle przestałeś mi pisać o sobie. Że jednak nie jestem z natury pokornym, wywieram zemstę moją naśladując lakoniczność ostatniego twego listu i ze smutkiem ale z konieczności oczekuję na porę w której uczujesz znowu potrzebę zawiązania długiej, serdecznej a od tylu już lat trwającej rozmowy, z twym starym i dyskretnym przyjacielem.

Jerzym.

LIST XIV.

Klementyna do Maryi.

Warszawa, 10 Lutego.

Coś niezwykłego dziać się musi z tobą lub w tobie, moja Maryo, jeżeli tak długo możesz nie odzywać się do mnie. Wiem że masz dla mnie przyjaźń opartą na podstawach takich na jakich opierają zwykle stosunki podobne ludzie myślący i uczciwi. Nie mogłaś więc o mnie zapomnieć. Albo ty zresztą możesz zapominać o czemkolwiek co ci kiedy było drogiem. Jeżeli nawet który z listów moich przykro cię teraz zadrasnął, wiem że w każdej innej porze swego życia ukarałabyś mię nazwą marzycielki i jedną z tych długich kochanych sprzeczek które staczałyśmy ze sobą tyle razy ustnie i na papierze. Zamiast tego milczysz uparcie. Cierpisz więc chyba i cierpieniem swem nie chcesz dzielić się zemną. To źle, Maryo. Cieszyłam się nieraz z tobą i przez ciebie. Nie powinnaś odsądzać mię od wspólnego z tobą cierpienia. Jeżeli zaś idzie o tę nawpół dobrowolną ślepotę której poddają się niekiedy natury tak jasne nawet i rozważne jaką jest twoja, pozwól abym ci powiedziała że nie pozwolę na nią. Powiesz iż zbyt despotycznie pojmuję prawa przyjaźni. Myśl co chcesz. Wolę abyś oskarżyła mię teraz o niedelikatność niż abyś kiedyś myślała że trzymałam się zdala od ciebie wtedy gdyś potrzebowała mieć obok siebie myśl zdolną do pomagania twej myśli i ramiona gotowe zawsze i w *każdym wypadku* do ogarnięcia cię kochającym uściskiem. Dla tego, jeżeli przez parę tygodni jeszcze nie otrzymam od ciebie długiego i szczerego listu, rzucę matkę i męża którzy zdrowi są i bardzo zajęci swemi różnemi sprawami, wsiądę do wagonu i przylecę do ciebie.

Klementyna.

LIST XV.

Marya do Klementyny.

Ongród, 20 Lutego.

Moja ty złota marzycielko! Rzucaj męża i matkę którzy niech przez czas jakiś potęsknią sobie za tobą, wsiadaj do wagonu i przylatuj do mnie! Pomysł twój jest wybornym, tem wyborniejszym że oczekuje cię tu miła niespodzianka. Zamiast cierpień, dobrowolnych ślepot i różnych innych patetycznych i tragicznych rzeczy które wyjaśniła wiecznie ruchliwa twa wyobraźnia, znajdziesz tu ten sam spokój i ten sam ruch, te same zajęcia i te same przyjemności, które skłoniły cię do nazywania życia mego „pięknie rozkwitłem południem!" Może nawet na tem południowem niebie zobaczysz nowy promień który nic a nic nie przyćmiewa innych ale owszem lepiej jeszcze rozwidnia cały widnokrąg. Wszak serce ludzkie zawrzeć w sobie może nieskończoną rozmaitość uczuć i uciech a im więcej ich zawiera tem pełniejszem, dobroczynniejszem, doskonalszem jest życie.

Nie pisałam do ciebie bo wiesz że w ogólności nie cierpię ani rozmów ani pisaniny o niczem. Na list zaś rozsądny i któryby wiernie przedstawił ci ostatnie tygodnie, zebrać się jakoś nie mogłam. Przyjeżdżaj. Będziemy rozmawiały ze sobą o *wszystkiem* co zechcesz i jestem pewna że w rzeczywistości to *wszystko* wyda ci się zrozumialszem i prostszem, niż gdybyś zobaczyła je na papierze.

Czekam cię niecierpliwie.

Marya.

LIST XVI.

Klementyna do Jerzego.

Ongród, 24 Lutego.

Od dwóch dni dopiero jestem tu, ukochany mój, a już opisać ci mogę wiele rzeczy które obchodzą cię żywo przez wzgląd na Adama, tak jak mnie przez wzgląd na Maryę.

Przyjechałam do Ongrodu jak wiesz, wieczorem, i ze stacyi kolei udałam się naturalnie wprost do mieszkania Maryi.

Na oświetlonych wschodach spotkał mię służący ale zabroniłam mu oznajmiać o moim przyjeździe gdyż chciałam najść Maryę niespodzianie. Będziesz znowu, mój najdroższy, śmiał się z zamiłowania mego w niespodziankach i przypiszesz je jak zwykle romantycznej mojej wyobraźni. Masz słuszność, nie cierpię komunałów życiowych i przepadam za wszystkiem co ma najlżejsze choćby podobieństwo do wybuchających wulkanów.

Wpadłam tedy do sali jadalnej tak jak byłam w futrze i kapeluszu i znalazłam całą rodzinę zebraną przy wieczerzy.

Marya stała przy samowarze urządzając herbatę. Zobaczywszy mię krzyknęła z radości, poskoczyła i rzuciła mi się na szyję, poskoczyła też za nią Klotylda, wstał od stołu p. Michał; przybiegły dzieci. W mgnieniu oka byłam rozebraną z podróżnych okryć, ucałowaną przez kilkoro ust (honny soit qui mal y pense! pan Michał całował mię tylko w obie ręce) i posadzoną przy stole, na którym stało wiele smacznych rzeczy i na który lampa wisząca u sufitu rzucała rzęsiste, wesołe światło.

Przyznam się że jakkolwiek wstęp ten do gościny mej tutaj przyjacielskim był i wesołym, czułam w sercu pewne rozczarowanie. Wyobrażałam sobie że znajdę Maryę samą w jej ustronnej, poetycznej pracowni i że będę mogła zaraz mówić z nią o tem co piekło mi usta i niespokojnie wirowało po głowie. Bliższe jednak przyjrzenie się Maryi wynagrodziło mi z łatwością doznany zawód. Mówiłam ci przed wyjazdem z domu że wyobrażam ją sobie mniej pogodną i wesołą niż dawniej a może i zniechęconą już trochę do swych domowych, powszednich zatrudnień i przyjemności. Tymczasem wieczoru tego, Marya nietylko nie wydała mi się bledszą ani smutniejszą ale przeciwnie uderzoną zostałam świeżem, mogę doprawdy powiedzieć, rozkwitłem jej wyglądaniem. Zaszła w niej wprawdzie zmiana pewna ale taka której każda z nas kobiet pragnąć tylko dla siebie może. Do zwykłej piękności jej przybyły nowe blaski. Ruchy jej mające w sobie zwykle coś ze spokojnej i czystej harmonii, nabrały niezwykłego ożywienia. Pełnia a może i nadmiar życia tryskał z promieniejących jej oczów i z ust które nabiegły ciemną purpurą. W całej postaci jej, w twarzy a nawet w dźwięku głosu zjawiły się wdzięki jakieś świetne i zarazem pieszczotliwe, które dawniej utajone snać drzemały w jej wewnętrznej istocie.

Nic na świecie nie może być swobodniejszem, łatwiejszem, serdeczniejszem jak rozmowa w kółku tych ludzi. Marya zapytała mię zaraz o to co najwięcej obchodzi mię na świecie, to jest o ciebie, mój Jerzy i o twoje najnowsze prace. Masz wiedzieć że książki twoje czytywane są w wielkiem mieście Ongrodzie a nawet podobno wysoko cenione. Marya posiada naturalnie u siebie cały ich komplet, panna Klotylda zachwyca się pięknością ich stylu i tkliwością niektórych ich ustępów, Natalka nawet, która nawiasem mówiąc staje się coraz inteligentniejszą i piękniejszą dziewczynką, czytała ich parę pod przewodnictwem swej matki. Jeden p. Michał tylko dzieła twe zna z opinii. Prawdę mówiąc, byłby on zupełnie doskonałym człowiekiem, gdyby choć raz w życiu swem przeczytał coś innego jak tabelę wykazującą kursa papierów publicznych. Marya serdecznie śmiała się z zakłopotania swego męża gdy przyszło mu przyznać się w obec mnie do zupełnej nieznajomości dzieł pana Jerzego Dalskiego, potem jednak bardzo poważnie przetłómaczyła, że kto tak ciągle i usilnie pracuje w specyalnym zawodzie jak jej mąż, ten ani czasu ani sił mieć nie może do podróżowania po krainach abstrakcyi i poezyi. Mówiąc to patrzała na męża okiem pełnem przywiązania, p. Michał zaś uścisnął rękę jej dziękując że go przede mną obroniła, poczem, zwykłym sobie ruchem, wkładając ręce w obie kieszenie surduta i nadymając nieco policzki, rzekł:

— Przyznam się zresztą państwu, że chociaż nieraz Marcia starała się przekonać mię inaczej, ja dotąd nie zgadzam się aby wszystkie te wasze abstrakcye i poezye służyć mogły do czego innego jak dla zabawki ludzi którzy mają czas i ochotę do bawienia się.

Wielki zbiorowy okrzyk podniósł się wkoło stołu. Protestowałam ja, protestowała Klotylda, protestowała i nie najgorszemi nawet argumentami posługując się, Natalka. Marya milczała i uśmiechała się tylko. P. Michał obie dłonie przycisnął sobie do uszu.

— Gwałtu, krzyknął, własne dzieci obracają się przeciw mnie! Ale wiedzcie państwo o tem że tchórzem nie jestem. Ukamienujecie mię tu zaraz filiżankami i bułkami a utrzymywać nie przestanę, że, jak żonę i dzieci kocham, najpiękniejszym pod słońcem poematem jest życie uczciwego i pracowitego człowieka!

— Michał ma słuszność, wyrzekła Marya.

Miał w istocie słuszność ale niezupełną. Był to sąd prawego serca ale nieukształconej głowy. Nie mam cierpliwości Maryi i nie miałam może takich jak ona powodów, aby kończyć sprzeczkę przyznaniem słuszności ojcu dzieci siedzących przy stole. Powiedziałam więc z trochą niecierpliwości, że jednak gardzone te przez niego abstrakcye i poezye, dopomagają ludziom do czynienia z istnień swych poematów uczciwości i pracy.

— Może być, odpowiedział Iwicki, ale ja nie mam czasu ani cierpliwości łamać sobie głowę nad niemi.

Rzekłszy to wstał, pocałował Maryą, mnie i siostrę swą w rękę a wszystkie dzieci po kolei w głowę i wyszedł z domu bo tego wieczoru jeszcze miał traktować z jakimś przyjezdnym obywatelem o ważnym interesie.

Wtedy Marya zapytała mię jak znajduję jej dzieci.

W odpowiedź, pocałowałam naprzód w różową buzię śliczną Natalkę a potem przyciągnęłam do siebie Franusia i zaczęłam mu się przypatrywać. Dziecię to o którem przed rokiem źle bardzo wróżyć można było, rozwinęło się i porozumniało znacznie. Znać że Marya toczy o nie uporczywą walkę z naturą i odnosi nad nią powolne zwycięztwo. Co do Janka, tego pyzata twarzyczka ukazywała się z za matki której szyję oplatał ramionami a kiedy po chwili zaczęłyśmy z wielkiem zajęciem rozmawiać, dzieciak wspiął się na palce, powyjmował wszystkie szpilki z warkoczów matki i rozplótł je całkiem. Nie przeszkadzała mu w tem zajęciu, tylko gdy już było ono ukończonem, schwyciła malca na kolana i śmiejąc się zakryła go całego swemi pysznemi włosami. Śliczny to był widok, mój Jerzy. Z za lasu czarnych włosów matki wybuchał srebrny śmiech

i błyszczały jak brylanty oczy dziecka, ona, pochylona nieco patrzała mu w twarz, z uśmiechem na pąsowych ustach.

W godzinę potem, Klotylda wysunęła się pierwsza z sali, Natalka poszła do snu ułożyć młodszych braci a Marya z zapaloną lampą w ręku, poprowadziła mię do swego pokoju, przechodząc zobaczyłyśmy przez drzwi otwarte Klotyldę klęczącą przed ołtarzykiem urządzonym w jej pokoju. Ołtarzyk przystrojony był w obrazki, kwiaty, muśliny i pióra, klęcząca przed nim kobieta postać miała smutną i znękaną.

— Czy Klotylda zawsze jeszcze marzy o miłości i szczęściu? zapytałam z cicha Maryi.

— Biedna! odpowiedziała mi ze szczerą litością, a teraz, dodała, jest ona biedniejszą niż kiedy.

Nie zapytywałam ją o znaczenie tych słów, bo głowę miałam zajętą zupełnie czem innem.

Gdy tylko znalazłyśmy się w ustronnym pokoju Maryi i usiadłyśmy obok siebie na jednej z tych niskich, leciuchnych kanapek które tam stoją, wzięłam jej rękę i zapytałam ją.

Czy często widujesz pana Adama, Marciu?

Spojrzała mi w twarz i wybuchnęła szczerym śmiechem.

— O, moja ty złota marzycielko! zawołała, z jakimż to uroczystym wyrazem twarzy zadajesz mi to pytanie! Wyglądasz tak jakbyś mię chciała zapytać: Maryo, czy prędko myślisz sobie życie odebrać? Nie; moja droga, mniej niż kiedy pomyśleć mogę bez trwogi o nieznanych przepaściach znajdujących się po drugiej stronie ziemskiego bytu, bo życie to jest mi milszem, droższem niż kiedy, bo więcej niż kiedy cenię całe bogactwo, całą rozmaitość piękności i dobrodziejstw jego!

Rzekłszy to uścisnęła mię z całej siły i wraz potem, pochwyciwszy ze stołu zeszyt zapisany jej własnem, szybkiem pismem, wpół żartem wpół z zapałem czytać zaczęła przetłómaczony ustęp z obcego poety.

— „Żyję! nie jestże świat ten marzeniem wielkiego Boga który śpiąc na samotnej gwiaździe, senne obrazy w rzeczywistość zamienia? Iliada, Platon, bój pod Maratonem, Mojżesz, Wenera Medycejska, wyznawcy i męczennicy, nie sąż pięknemi pomysłami w tym twórczym śnie bożym? Niedługo może świat ten rozpryśnie się w nicość jak gdyby nie istniał nigdy ale mniejsza o to! żyję. W żyłach moich wre płyn purpurowy, pod stopami memi drży ziemia, w namiętnym zapale ujmuję w objęcia drzewa i gwiazdy, wszystkie piękne dusze i mądre arcydzieła ludzkie i odpowiadają mi one żywym uściskiem! Każda chwila jest dla mnie nieśmiertelnością, bo w tem już istnieniu dosyć przeżyć mogę, gdy rzucając myśl mą wstecz i naprzód, spajam życie me z życiem ubiegłych i przyszłych pokoleń i stwarzam sobie wiekuistość w krainach przeszłości i przyszłości!“

Przeczytawszy to rzuciła na stół zeszyt, utopiła w mojej twarzy oczy mieniące się szafirem i srebrem i uśmiechała się drżącemi nieco ustami.

Patrzałam na nią z trochą zdziwienia. Taką jaką wtedy była nie widziałam ją jeszcze nigdy. Wezbrane życie zdawało się w całej istocie jej wrzeć i kipieć. Oczy jej, usta, dźwięk głosu, oddech poruszający piersią, zdawały się razem z poetą którego przed chwilą czytała, wydawać okrzyk: żyję! Byłaż to ta sama kobieta która przed chwilą tak spokojnie obdzielała rodzinę swą wieczerzą a potem tak serdecznie i swawolnie zaglądała w śmiejącą się twarz zakrytego włosami jej dziecka?

— Jak widzę, rzekłam, do zajęć twych, Maryo, przybyło tłómaczenie obcych pisarzy?

— Nie; odpowiedziała, nie mam dość czasu aby pracom takim oddawać się na seryo. Czytaliśmy tylko wczoraj książkę tę z panem Adamem i ten jej ustęp przetłómaczyliśmy wspólnemi siłami.

Wzięła moją rękę i siadając na kanapie wygodnie, jak do długiej i poufnej pogadanki, zaczęła.

— Z listów twoich, Klemensiu, wyczytałam, że dziwne dziwy wyroiły się o mnie w twojej szalonej trochę główce. Otóż widzisz, jestem żywa, zdrowa i wesoła, weselsza może nawet niż byłam kiedykolwiek. Z panem Adamem widujemy się parę razy na tydzień, czasem nawet częściej, i jesteśmy z sobą w bardzo serdecznej i ścisłej przyjaźni.

— Nie wyobrazisz sobie, ciągnęła po chwili milczenia, jak drogim mi jest ten stosunek, jak korzystnemi dla nas obojga są te krótkie godziny które przepędzamy razem. Pisałaś do mnie że czas który kiedyś spędzałam z tobą we wzajemnej zamianie myśli a niekiedy i dziwacznych trochę rojeń fantazyi, czynił zadość jednej z zewnętrznych potrzeb moich, zapytywałaś mię czy nie czując w sobie jakiejś siły drzemiącej i niewyzyskiwanej. A więc tak. Nie umiem i nie chcę być nieszczerą. W zwykłem otoczeniu mojem znajduję wszystko czego mi trzeba dla wypełnienia serca i czasu ale wymagania umysłu mego może poniekąd i nie były dostatecznie zadowolonemi. Pierwsza młodość moja była nawskroś przesiąknięta wysokiemi uciechami wiedzy i sztuki. Nawykłam do tego. Stało się to drugą moją naturą. Wszak przeszłości nikt nie może wyrzucić za okno i przetworzyć siebie do gruntu wedle warunków nowego położenia swego. Jestem zupełnie zadowoloną z losu mego ale są chwile w których mam czas zupełnie wolny. W dostatnim widzisz bycie jak nasz, najzabieglejsza gospodyni domu i najtroskliwsza matka nie jest wyrobnicą pozbawioną godzin ciszy i samotności. W godzinach tych czułam się zawsze trochę samotną i doświadczałam szczególnych porywów biedz do kogoś, powiedzieć komuś: popatrz! posłuchaj! przeczytaj! Często też powstają w mojej głowie całe tłumy uwag, zapytań, wątpliwości i takbym pragnęła wtedy mieć obok siebie myśl pomocniczą, z którą razem mogłabym zatrzymać się na jakimś: *tak* albo *nie*. Pozostawiona samej sobie nie mogę uspokoić się póty aż odpowiem na własne pytania albo o nich zapomnę. W pierwszym wypadku sprawia mi to zamęt w myśli, w drugim bywam zawsze trochę smutna. Żal mi że przed oczami memi przemknęła błyskawica prawdy a ja jej pochwycić i w głowie mojej uwięzić a zapewne także i w życiu zastosować nie mogłam. Wszystko to są drobne bardzo rzeczy, to też nic a nic nie zatruwały mi one życia. Nie zastanawiałam się nawet nigdy nad niemi i z ich powodu łajałam siebie raczej niż użalałam się nad sobą. Łajałam siebie za to że zachciewało mi się jak dziecku gwiazdy z nieba. Nie przeszkadza to jednak temu, że jeżeliby człowiek łający siebie za tęsknotę do gwiazd otrzymał jedną z nich w prezencie, czułby się bardzo szczęśliwym...

Przestała mówić a ja ujmując obie jej ręce rzekłam zcicha:

— Więc przyjaźń z panem Adamem jest dla ciebie gwiazdą nagle spadłą z nieba?

— Nie nastrajajmy się Klemensiu, na ton zbyt wysoki, odpowiedziała z uśmiechem. Przyjazny stosunek z takim człowiekiem jak p. Adam nie jest zapewne faktem codziennym i nie może przejść w życiu bez śladu. Uważam go za jedną z łask losu których doświadczyłam już tyle...

— Nie wyobrazisz sobie, mówiła dalej, jaką szczególną i nieznaną mi dotąd przyjemność znajduję w odkrywaniu przed tym pięknym, męzkim umysłem światów myśli i fantazyi ludzkiej, których nie znał on albo o których zapomniał pogrążony w wyłącznych swych pracach. Z pozoru możnaby sądzić że człowiek ten zimny jest i niedostępny wszelkim miękkim i łagodnym uczuciom. Nie wiem dobrze w skutek jakich wpływów życia przeważnym rysem jego charakteru stały się: surowość sądów i smutne trochę niedowierzanie tak ludziom jak ideom. Jednak, po za chłodem i skeptycyzmem tym ukrywa się skłonność do zapału i wielka żądza wiary. Wiesz? wyraz twarzy jego zmienia się czasem tak wśród rozmowy zemną, że gdyby ktokolwiek kto widział go przed godziną, zobaczył go wtedy, powiedziałby chyba że to nie ten sam człowiek. Uśmiech jego bywa czasem tak miękki łagodny jakby w tem sercu opancerzonem surowością zasad i życia, mieściły się skarby słodyczy i tkliwości, czasem też spuszcza on oczy i milczy długo a wtedy twarz jego blednie trochę i spada na nią wyraz smutnego zamyślenia...

Oczy jej błysnęły i nieruchomem wejrzeniem zawisły w powietrzu.

— Chciałabym, dodała ciszej, chciałabym wiedzieć o czem on wtedy myśli...

Na ustach jej wpółotwartych drżał uśmiech w którym czuć było biegnącą do oka łzę.

Wkrótce potem udałyśmy się na spoczynek. Marya umieściła mię pomiędzy sypialnią swą a pokojem dziecinnym. Kiedy rozbierałyśmy się do snu i przez próg gawędziłyśmy jeszcze z sobą, zawołała nagle:

— Chciałabym aby p. Adam przyszedł do nas jutro na parę godzin! Mieć razem u siebie ciebie i jego! co za śliczny dzionek!

Słyszałam jak przed zgaszeniem lampy zapytywała jeszcze służącą czy mąż jej wrócił z miasta i niepokoiła się trochę otrzymawszy odpowiedź przeczącą.

— Biedny Michał! rzekła, jak on pracuje, dniami i nocami!

Pan Michał który późno w nocy wraca często z wycieczek swych na miasto i w okolice, przez wzgląd na spokojność żony i dzieci, urządził sobie sypialnię na dole domu.

Kiedy nazajutrz obudziłam się, usłyszałam głos Maryi krzątającej się już w jadalnej sali. Wczesny z niej zawsze ptaszek. W rannym szlafroczku żywej barwy i z włosami ukrytemi pod białym czepeczkiem, wyglądała świeżo i ładnie ale znowu inaczej zupełnie jak w przeddzień wieczorem. Możnaby było powiedzieć że kobieta natchniona i wrząca zapałem, która wczoraj z pałającem okiem i pulsującemi skrońmi czytała mi ustęp namiętnej poezyi i gosposia krzątająca się teraz z kluczykami w dłoni dokoła jadalnego stołu, były to dwie różne całkiem istoty. Pan Michał pośpiesznie bardzo zjadł śniadanie i poszedł do swego biòra. Człowiek ten posiada w istocie przymiot żelaznej i szacunku godnej pracowitości.

Zaledwie śniadanie było skończonem i Marya gospodarowała jeszcze w najlepsze w swoim szlafroczku i czepeczku, wydając domownikom przeróżne dyspozycye gdy do sali jadalnej wszedł p. Adam. W chwili właśnie wejścia jego, Marya stała przy wielkiej szafie roztwartej na oścież i bardzo poważnie rozpowiadała niemłodej kobiecie którą sobie niedawno do pomocy wzięła, co tam w szafie do jakiego użytku jest przeznaczonem.

Uczony i sławny przyjaciel twój, Jerzy, po raz pierwszy zapewne, zobaczył Maryą w jej porannem gospodarskiem wyglądaniu. Zjawił się był w progu poważny, chmurny nawet trochę ale zanim postąpił kilka kroków twarz jego wypogodziła się i z wesołym prawie uśmiechem patrzał na gospodynią domu, która zatopiona w swem zajęciu nie spostrzegła była zrazu jego wejścia. Spotrzegłszy je pośpieszyła ku gościowi z wyciągniętą na powitanie ręką.

— Tak pragnęłam żebyś pan przyszedł dziś do nas! zawołała, czy poznajesz pan mego gościa? dodała wskazując na mnie.

Klasnęła w dłonie z radością, dowiedziawszy się z powitań naszych, nietylko że jesteśmy z sobą znajomi, bo o tem już odemnie wiedziała, ale że p. Adam jest najbliższym i bardzo dawnym przyjacielem twoim, Jerzy. Poprowadziła nas zaraz do dalszych pokojów. P. Adam tłomaczył zbyt poranną swoją wizytę.

— Byłem wczoraj na wsi, mówił, i dziś tam znowu jadę. Nie wrócę aż jutro wieczorem i chciałem dowiedzieć się czy nie jestem państwu na co potrzebnym.

Wszyscy w domu byli zdrowi.

— Czy masz pan godzinę do darowania nam? zapytała Marya.

Adam spojrzał na zegarek.

— Mogę sobie darować trochę nawet więcej jak godzinę. Sześć godzin wystarczy mi do odwiedzenia moich chorych a potem pojadę na wieś.

— Klementyno! zawołała Marya, prezentuj nam teraz swoje albumy.

Wiesz o tem że przed wyjazdem ze stolicy kupiłam dla Maryi parę najświeższych wydań artystycznych, wiedząc że wielką jej tem zrobię przyjemność. Zaniosłam do pokoju Maryi zbiór ten kopii najświeższych arcydzieł malarskich i po kilku chwilach siedzieliśmy przy kominku rozpatrując te piękne rzeczy i gwarząc nad niemi. Natalka należała do grona osób przypatrujących się i zachwycających, młodsze dzieci bawiły się jak zwykle w pobliżu matki.

Nie wyobrazisz sobie Jerzy, jak nam było dobrze i wesoło. Ciebie mi brakowało bardzo ale pomimo tęsknoty za tobą nie mogłam obronić się od wpływu tej czystej i pogodnej a tak pełnej idealnego jakiegoś życia atmosfery, która otacza Maryą.

Od czasu do czasu spoglądałam na dwoje przyjaciół naszych i myślałam że równie dobrze dobranej pary ludzi nie widziałam na świecie. Od dwóch lat w czasie których nie widzieliśmy go, Adam nie zmienił się wcale. Ma on zawsze tę samą postawę szlachetną i pełną energii, tę samą cerę twarzy w bladości której znać podjęte mozoły umysłu i mnogie noce spędzone bezsennie nad książkami lub przy łożach cierpień, te same oczy ze spokojnem i chłodnem nawet wejrzeniem, na dnie których jednak pali się żar niewygasłych bo niezmarnowanych ogni uczucia.

W ciągu godziny którą z nami przepędził, uważałam, że kilka razy przygarnął do siebie Franusia, dając mu różne łagodne zapytania, na które dziecię odpowiadało śmiało, również łagodnie. Piękną była tkliwość ta poważnego, energicznego mężczyzny, okazana biednemu, upośledzonemu dziecięciu. Ale i Marya, upośledzone dziecię to, najczęściej i najczulej garnie do siebie. Wiem teraz, że Adam dopomógł jej bardzo radami swemi w rozwijaniu ociężałego umysłu tego dziecka. Dzieli też czułość jej dla niego.

Upewnić cię mogę, ukochany mój Jerzy, że ranki te, które dwoje tych ludzi spędza niekiedy razem, są najpromienniejszemi i zarazem najniewinniejszemi z ranków, jakim kiedykolwiek przyświecało Boże słońce. Ale — długoż tak trwać będzie?

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Zastrzegłem sobie w poprzedniej korespondencyi kilka uwag o antagonizmie między Lwowem a Krakowem. Antagonizm ten nie jest bynajmniej nowym, ale rzadko kiedy objawiał się tak silnie jak w tym roku. Że ta niczem nieusprawiedliwiona i pospolitym partykularyzmem dyktowana niechęć Krakowa do Lwowa i na odwrót, posuwa się czasem tak daleko, iż smutne wystawia świadectwo krajowi i społeczeństwu, wskazuje fakt najświeższej daty, który niemiłe wrażenie sprawił w kołach zajmujących się wystawą krajową. Zarząd dóbr jednego z magnatów krakowskich, męża nietylko noszącego znakomite nazwisko, lecz także osobiście zasłużonego, polecił podwładnym organom, aby nic nie wysełały na wystawę krajową do Lwowa. Trudno przypuścić, żeby zarządca na własną rękę wydawał taki zakaz. Gdyby bowiem postąpił sobie samowolnie i chciał na własną rękę wyrządzić przykrość komitetowi lwowskiej wystawy, nie byłby się odważył wysłać odpisu tego zakazu do komitetu, co nadało sprawie całej wielkiego rozgłosu. Że była to demonstracya przeciw wystawie a nie figiel podrzędnego oficyalisty, o tem nie można wątpić po częstych zgryźliwych uwagach głównego organu krakowian o lwowskiej wystawie. Czy z takich objawów wypada się śmiać czy smucić, czy gniewać się na Kraków czy ubolewać nad nim? Naszem zdaniem jest i śmiać się z czego, ale jest także powód do gniewu i ubolewania, gdyż niechęć Krakowa do Lwowa nie kończy się na drobnostkach, do których ostatecznie i usunięcie się kilku wystawców krakowskich zaliczyć można, lecz sięga coraz dalej i wytwarza formalną walkę domową. Powodów do ożywienia tej walki nie braknie obecnie w czasach tak burzliwych i niepewnych. Sprzeczamy się tedy i walczymy z Krakowem nieustannie, poważnie i namiętnie, w dobrej i złej wierze, o rzeczy najwyższej wagi i o błahe sprawy, a korzyść ztąd odnosi ten, komu zależy na tem, by najlepsze usiłowania i zamiary paraliżowane były z własnej winy brakiem zgody. W życiu publicznem walka między Lwowem i Krakowem jest starszą niż walka na polu literackiem, artystycznem i społecznem. Odkąd istnieje sejm, zawsze tworzą w nim posłowie z zachodniej części kraju osobne stronnictwo, tak zwane krakowskie. Co do liczby głosów, stronnictwo to nigdy nie stanowiło większości, ale mimo to wywierało wpływ znakomity dzięki niezaprzeczonej przewadze moralnej, jaką mu zapewniała znaczna liczba członków z świetnym darem wymowy i wielkiemi zdolnościami. Dziś prawie panować będzie stronnictwo krakowskie, gdyż nowy marszałek krajowy hr. Ludwik Wodzicki należy do jego grona, a głośno mówią, że nawet w wydziale krajowym po nowym wyborze członków przeważać będzie żywioł krakowski.

Szczęśliwie współzawodniczy Kraków ze Lwowem szczególnie na polu literackiem i artystycznem. I tu przewaga jest po ich stronie, gdyż w murach Krakowa przebywa w tej chwili większość naszych znakomitości literackich, naukowych i artystycznych. Ale wszystko to nie daje jeszcze stolicy nadwiślańskiej prawa do spoglądania na Lwów z lekceważeniem, a nawet z pogardą. Atenami polskiemi nazwano Kraków nie we Lwowie lub Warszawie, lecz właśnie w samym Krakowie, więc tytuł do tego stanowiska jest dość słaby. Lepszy tytuł stanowi już ta okoliczność, że Kraków jest siedzibą najwyższej instytucyi naukowej, Akademii nauk i umiejętności.

Chociaż Kraków tak pewnym jest swojej wyższości na tem polu, mimo to nieraz doznał u Lwowa upokorzenia. Naprzykład przytoczymy fakt bardzo świeży i jeszcze nawet nie rozgłoszony przez prasę. W ostatnich czasach jedna z najmłodszych powag naukowych Krakowa wystąpiła z wielkiem, bardzo uczonem dziełem, które zaćmić miało wszystko co dotąd posiada literatura polska w tym, zresztą bardzo mało uprawianym, dziale umiejętności. Gdy nadszedł powyższy tom tego dzieła do Lwowa, przekonano się że jest to tylko kompilacya pozbawiona wszelkiej samodzielności autorskiej, a niektórzy zapewniają, że jest to całkiem pospolity plagiat. Nie pierwszy raz zdarza się uczonemn Krakowowi taki zaśmiały wypadek. Przypominamy sobie, że w podobny sposób skompromitowały się w ostatnich latach dwie jego znakomitości. Wyraz znakomitość trzeba jednak brać w innem znaczeniu, specyalnie krakowskiem. Chociaż bowiem Kraków posiada cały szereg znakomitości w prawdziwem tego słowa znaczeniu, mimo to nie waha się przyznawać tego epitetu osobom, które nań wcale nie zasługują. Nie nowy to ani nie niesprawiedliwy zarzut, że w Krakowie kwitnie wzajemna admiracya. Kto się dostanie do Krakowa i umie trafić w słabą jego stronę, może być pewnym, że w krótkim czasie i bez nadzwyczajnych trudów zdobędzie sobie sławę, na którą gdzieindziej musiałby długo i mozolnie pracować. Można to szczególnie powiedzieć o artystach dramatycznych, którzy od niedawna uważali pobyt w Krakowie za najpewniejszy środek zjednania sobie wawrzynów. Dwa razy powiodło się Krakowowi odkryć w artystach we Lwowie dość lekceważonych (Rapacki i Modrzejowska) talent rzeczywiście niepospolity i tak go to obałamuciło, że potem już w każdej akwizycyi lwowskiej prawie bez próby upatrywał talent zapoznany. Pod tym względem jednak zarozumiałość Krakowa dałaby się najprędzej usprawiedliwić: Bądź co bądź scena krakowska jest w danych stosunkach i warunkach wzorowo prowadzoną i utrzymywaną. Fakta nadały jej nazwę szkoły dramatycznej, gdyż rzeczywiście w ostatnich czasach dostarczyła lwowskiej i warszawskiej scenie sił pierwszorzędnych.

Musielibyśmy jeszcze długo nadużywać cierpliwości czytelników jeżelibyśmy chcieli wyczerpnąć w jednej korespondencyi cały długoletni antagonizm między Lwowem i Krakowem na każdem polu. Z kilku przytoczonych szczegółów można sobie wyrobić wyobrażenie o całym stosunku. Dopóki antagonizm ten wydawał się tylko współzawodnictwem drażliwie pojmowanem i prowadzonem, dotąd rzecz cała przedstawiała się niewinnie. Ale w ostatnim roku stosunek zmienił się bardzo niekorzystnie, bo wytworzył rzeczywistą niechęć wzajemną. Lwów jak zawsze tak i tym razem zgrzeszył przesadą i doprowadził drażliwość stosunku do szczytu. Trzeba dużo dobrej woli i chęci, żeby to wszystko zmieniło się na lepsze.

Przybyły nam dwa nowe pisma, oba aż raz na dwa tygodnie wychodzące. Jedno z tych pism *Dźwignia* jest nowością w lwowskiej literaturze peryodycznej, gdyż stanowi organ techników. Pisma poświęconego sprawom technicznym nie posiadał Lwów dotąd, chociaż w ostatnich latach produkował tyle efemerycznych tygodników i dwutygodników z pozorami fachowych organów. Wszakże wydawano tu nawet dość długo słynną z swojej naiwności *Iris*, organ, który obok artykułów z dziedziny ogrodnictwa i sadownictwa, zamieszczał także zabawne recenzye teatralne i artystyczne, zdolne do wywołania śmiechu w nieuleczonych nawet tetrykach. *Dźwignia* wydawana w skromnych rozmiarach może się utrzymać, gdyż nie braknie jej czytelników fachowych. Już od dłuższego czasu nauki techniczne przyciągają do siebie znaczny procent młodzieży kończącej szkoły średnie. Najwięcej przyczyniły się do tego zwrotu widoki na chleb, gdyż po przepełnieniu urzędów i szkół, zawód urzędników i nauczycieli zaczynał być bardzo niewdzięcznym a kto skończył technikę otrzymywał zaraz dobrą posadę. Obecnie stosunki uległy zmianie widocznej, gdyż po wybudowaniu ważniejszych linii kolejowych; wskutek długiej stagnacyi interesów zawód techniczny zaczyna znowu

niepopłacać, a wielu zdolnych nawet techników musi się w tej chwili zadawalać jakąkolwiek, nawet podrzędną posadą.

Drugi dwutygodnik nowo założony *Zgoda* wytknął sobie zadanie bardzo piękne, bo pracować zamierza nad społeczną asymilacyą żywiołu żydowskiego w Galicyi. *B. Ł.*

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

II.

Ze wszystkich gwiazd zaludniających niezmierzone przestrzenie, najważniejszą jest dla nas Słońce, zatem powinniśmy się starać o jak najdokładniejsze jego poznanie. Słońce podtrzymuje Ziemię w przestrzeni, oświeca ją i ogrzewa, obdarza nieustanną młodością i życiem. Jest ono niezbędnym warunkiem fiizycznej egzystencyi, nietylko dla nas mieszkańców Ziemi, ale i dla wszystkich istot mogących zamieszkiwać inne planety.

Królując w ognisku dróg przebieganych przez wszystkie te światy, gromadzi je w około siebie i rozdziela im lata, pory i dnie; niewyczerpanem źródłem ciepła, światła a zatem i życia. Ze słońca, jak z nieprzebranego źródła potęgi, czerpią moc swą wszelkie siły mechaniczne i chemiczne, rozwijające się peryodycznie na powierzchni Ziemi i innych światów planetarnych, a mimo to w każdej chwili pochłaniają tylko jakąś maluczką, nic nie znaczącą cząstkę tej potęgi. Zadziwiająco szybkie drgania niezmierzonej sfery, przebiegającą przestrzeń z piorunującą prędkością, za każdem uderzeniem wywołują w dotkniętych ciałach fenomena ruchu, którego zmienne objawy wytwarzają już to światło, ciepło, już związki chemiczne, prądy elektryczne i magnetyczne, a ostatecznie życie.

Śmiały umysł ludzki zdołał zbadać głębokie tajniki przyrody, zmierzyć wysokość niedostępnych niebios i zważyć Ziemię nie cofnął się przed olśniewającym blaskiem Słońca, spojrzał śmiało w jaśniejące jego oblicze, badał, zgłębiał, rozbierał i po trzechwiekowych mozołach dziś nauka może już określić naturę i układ Słońca i jego działalności w wszechświecie. Słońce jest 1,279,000 większe, a 324,000 cięższe niż Ziemia. W około niego nagromadzone są gwiazdy nieprzejrzyste, ciemne same z siebie, od słońca jedynie przyjmujące światło i ciepło, są to planety. Można je podzielić na dwie gromady.

Pierwszą, bliższą Słońca gromadę tworzą cztery planety, małych rozmiarów w porównaniu do planet drugiej gromady. Wymieniamy ich w porządku odległości od Słońca: są to: *Merkury*, *Wenus*, *Ziemia* i *Mars*. Drugą, więcej oddaloną gromadę składają także cztery planety, nieporównanie większe od poprzednich, są to, (także w porządku ich odległości od Słońca) *Jowisz*, *Saturn*, *Uranus* i *Neptun*. Gwiazdy te są tak wielkie iż cztery pierwej wymienione połączone razem, nie dorównałyby najmniejszej z nich. Oprócz tych dwóch gromad istnieje jeszcze trzecia złożona z całych setek małych gwiazd: *małe planety* krążą między pierwszą a drugą gromadą; największe nie mają stu mil średnicy, a największa część zaledwie kilka mil.

Światy te jakby za wspólną ugodą odbywają swe drogi około Słońca z prędkością zależącą od ich odległości, a z kolei Słońce unosi je w przestrzeni ku pewnym punktom nieba. Przyczyną tych ruchów jest siła przyciągania. W przyrodzie wszystkie siły przyciągają się wzajemnie: Słońce przyciąga Ziemię, Ziemia Księżyc i t. d. Na mocy to tej powszechnej siły światy rzucone w przestrzeń zakreślają krzywą linię około Słońca; z szybkiego jej przebiegania wywiązałaby się siła przeciwna, która, podobna sile kamienia wypadającego z procy, wyrzuciłaby planety po za ich drogę, gdyby ich nie trzymała w swych więzach atrakcya Słońca.

Ziemia odległa jest od Słońca 37,000,000 mil. Aby wytworzyć sobie jakieś pojęcie tej odległości, wyobraźmy sobie kolej żelazną poprowadzoną w prostym kierunku do samego Słońca, otóż gdyby pociąg biegł nieprzerwanie z prędkością 50-ciu kilometrów na godzinę, chcąc dojechać do Słońca musiałby tak pędzić przez... 337 lat!

Masa Słońca jest tak bezmienna iż z niesłychaną siłą przyciąga przedmiota na swą powierzchnię; przedmiot spadający z pewnej wysokości przebiega tam 134 metrów w pierwszej sekundzie swego upadku. Natężenie siły ciężkości jest na Słońcu 27 razy większe niż na Ziemi. Człowiek zwyczajny przeniesiony na Słońce ważyłby tam 2,000 kilogramów, i nietylko nie mógłby utrzymać swego ciężaru, ale zostałby natychmiastowo spłaszczony i rozdzielony na niezliczoną liczbę cząstek, jakby zmiażdżony w moździerzu.

Nie poprzestając na wymierzeniu objętości i ciężaru Słońca, nauka sięgnęła dalej i przez analizę widma słonecznego odkryła jakie w niem płoną pierwiastki, jaka jest natura oraz chemiczny i fizyczny układ Słońca.

Lecz teraz zobaczymy co mówi autor o możliwości zaludnienia Słońca. Herszel, Humboldt i Arago, przypuszczali że Słońce może być zamieszkałem, ale wówczas utrzymywano że ciepło i światło jakie od niego odbieramy nie pochodzi z łona Słońca ale z otaczającej go świecącej atmosfery; dziś wiadomo już że kula słoneczna nie jest stałą ale płynną a nawet gazową, gorętszą niż roztopiony metal, co nie dozwala przypuszczać możliwości życia organicznego na jego ruchomej i falowatej powierzchni.

Jednak powtarzamy słowa Flammariona, ze stanowiska ogólnie entologicznego, nie możemy brać tego zaprzeczenia w zupełnie ścisłem znaczeniu, bo że nie znamy stworzeń mogących żyć w ogniu, to jeszcze nie upoważnia nas do zakreślania granic potędze przyrody. Dalej jeźli pojmujemy bezmierną wyższość Słońca nad wszystkiemi razem innemi planetami, że króluje ono w środku kreacyi planetarnej i że byłoby to wspaniałe miejsce pobytu dla istot coby go były godne, tak piękne i wzniosłe że z niego tylko można rozglądać się w prawdziwych perspektywach niebieskich i poznać węzły mające łączyć naszą gwiazdę z innemi gwiazdami nieskończoności, jeźli czujemy wielkość i majestat takiego miejsca pobytu, mimowolnie wznosimy się po nad marne i dziecinne klasyfikacye ziemskiej nauki i staje nam w myśli że Stwórca Wszechświata mógł właśnie w tej jasności pomieścić swoich wybranych. Aleź, powiedzą mi, byłyby to chyba istoty bez ciała? I dla czegoż koniecznie bez ciała; któż posiada tajemnicę możliwości ciał? Wierzycie temu naiwnie, ale to nie dowód; wytłómaczcież mi proszę czemu amiant nie płonie w ogniu? A z resztą któż wie gdzie się kończy materya a gdzie duch się zaczyna? Czem jest ogień słoneczny? jest to stan materyi; dalej nazwa ogien i światło nie możemy tu brać w pospolitem ich znaczeniu, bo może to co dla naszych zmysłów jest światłem i ciepłem; dla innych byłoby czem innem.

„Może myślący czytelnik lepiej pojmie możliwość, jeźli nie fizyczną ponieważ po dziś dzień fizyka nie sięga tak daleko, ale metafizyczną przynajmniej możliwość tej hipotezy, jeźli powiemy iż pomimo że tyle planet żyje z jego promieni, Słońce poniekąd daremnie jaśnieje. Jakto daremnie, powie ktoś, skoro oświeca i ogrzewa Ziemię, Marsa, Wenus, Jowisza, Saturna i cały układ planetarny?... No, co prawda nie zupełnie daremnie, ale jakże to mało, w porównaniu z promieniowaniem słonecznem ginącem w przestrzeniach bez jakiegoś wiadomego nam pożytku. Ziemia zatrzymuje w przejściu zaledwie dwie miliardowe cząsteczki siły słonecznej; wszystkie razem inne planety przejmują 230 milionową część tejże działalności reszta rozchodzi się w niezmierzonej przestrzeni. Zatem siła zmarnowana jest o 230 milionów razy większa od części zużytkowanej.

To samo już pokazuje nam że wielkim byłoby błędem ograniczać naszą miarą niezgłębione zamiary Stwórcy; możnaż twierdzić że Słońce istnieje jedynie dla utrzymania życia planet? Nie! niepowinniśmy ani wyrokować że działalność jego jest bezużyteczną, ani też przeczyć iż Słońce jest może miejscem pobytu duchów błogosławionych. I czemuż takie istoty nie miałyby istnieć? miałżeby człowiek ziemski być ostatnim wyrazem duchowej doskonałości?..

Ten sam wniosek da się zastosować do wszystkich gwiazd, *ponieważ każda jest takiem Słońcem jak nasze.*

Lecz to więcej duchowe niż materyalne zamieszkanie, nie da się zamknąć w granicach jakie nauka zakreśla życiu zwykłemu, i dla tego dodamy tu jeszcze słów kilka o przystosowaniu samego Słońca do warunków zwyczajnego życia fizycznego.

Przyjdzie czas, w którym świetna ta gwiazda utraci swe światło i ciepło; niegdyś była ona niezmierzona i gazowata i roztaczała się aż po za drogę Neptuna; z mgławicy stała się Słońcem. Stygnie ono ciągle, jak tego dowodzą jego plamy, i światło jego będzie się zaciemniać coraz więcej, aż do dnia, w którym jak tyle innych gwiazd znikłych od dwóch tysięcy lat, zagaśnie także, zgodne z nieubłaganem prawem rządzącem ogólnem przeznaczeniem. Życie planet odczuje zgubne skutki tego zgaśnięcia, jeźli wprzód nie zużyje się samo przed nadejściem owej bardzo jeszcze odległej epoki. Po końcu świata ziemskiego i innych planet jeszcze wśrodku układu pozostanie gwiazda na którą będzie mogło schronić się życie organiczne gwiazdą tą będzie Słońce. Wtedy, podczas gdy inne planety nie przestaną składać mu hołdów skupiając się koło jego przeważnej siły przyciągającej, i ono z kolei pokryje się roślinnością i kwiatami, i zapewnie przez jakie miliardy lat wystarczy samo sobie, dzięki niewyczerpanemu prawie zapasowi ciepła zawartego w jego łonie. Wtedy Słońce będzie jedynym zamieszkanym światem naszego systemu i zapewnie ludność jego przewyższy siłą i postępem siłę i postęp Ziemi i wszystkich innych planet. (A może Stwórca tak postanowił że tam połączą się kiedyś duchy mieszkańców wszystkich innych planet). Jednak to bogate i cudowne płodne źródło wyczerpie się niegdyś pod naciskiem nagromadzonych wieków, i ostatni zamieszkany świat naszego systemu, wyda z kolei ostatnie swe tchnienie. Dostanie się on wówczas do konstelacyi ku którym zmierza, lub może napotka w swym biegu stare słońce równie jak on zagasłe i może straszne i gwałtowne uderzenie, zbudzi do nowej kreacyi siły utajone, drzemiące w jego łonie...

Na to mógłby nam tylko odpowiedzieć głęboki głos wiekuistych niebios, jak matka która odpowiada na pierwszy szczebiot dziecięcia.

Takim pewnie będzie los Słońca. Obecnie powinniśmy go uważać jakoteż *wszystkie gwiazdy* jako oddzielne

źródła światła, ciepła, działalności i życia dla planet krążących w ich świetle. Z naszego pięknego Słońca, tego serca organizmu planetarnego, rozpływają fluktuacye, siły i wyniki upładniające, poruszające światy i ożywiające je ciągle odnawianem życiem. Pod jego potężnym wpływem, organizma żyjące nieustannie zamieniają z sobą atomy, i przez powszechne braterstwo wszystkie ciała przekształcają się przemieniają i odnawiają. Słońce jest dla nas jakby ojcem niebieskim, bo streszcza w sobie i urzeczywistnia dla nas przedwieczne zrządzenia Stwórcy. Ono to utrzymuje ciężką kulę ziemską na łonie niezmierzoności, ono to mikroskopijne kropelki wody Oceanu podnosi aż pod obłoki i tworzy z nich chmury; ono obraca Ziemię na swej osi jakby na bezmiernem kole; ono także przez odmienne natężenie dwóch warstw powietrza obraca wiatraki i zabawki jakie dziecię trzyma w ręku. Słońce także oświeca olbrzymie pierścienie świata Saturna i ukazuje nam na niebie pomarańczową tarczę olbrzymiego Jowisza: słońce rozwija fiołki niezapominajki pod wonnem tchnieniem wiosny. Słońce porusza Ziemię i człowieka. Zawsze i wszędzie promienie słoneczne nadają ruch światu i wzbudzają życie, czy to w postaci węgla pod kotłem lokomotywy, czy podniecając mięśnie konia, czy świergotem pliszki na brzegu lasu lub szybkim lotem jaskółki, czy w uderzeniach zaledwie budzącego się serca młodej dziewicy, czy w niespokojnej myśli geniuszu zgłębiającego wielkie tajemnice...

A teraz gdyśmy poznali Słońce, wróćmy się do *ziem nieba* na powierzchnię których wywiera ono swoją działalność.

(d. c. n.)

LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

II.

Jest to niezaprzeczoną prawdą, że najtrudniej jest wywierać wpływ na lud prosty za pośrednictwem literatury, ale, jeżeli odpowiednia gałęź w piśmiennictwie, to jest literatura ludowa, potrafi odszukać drogi, któremi dostaje się do serca tego ludu, to nie ma wdzięczniejszego pola, i nigdzie nie zbiera się obfitych plonów... Fakt ten wymownie popierają stosunki ludu wiejskiego w Poznańskiem i Prusach Zachodnich. Literatura ludowa w tych prowincyach przeważnie streszczająca się w ludowem dziennikarstwie, jest tak imponująca pod względem liczby i wpływu, że o wiele nawet przewyższa dziennikarstwo poświęcone dla inteligencyi... W całem Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Szlązku (pruskim) wychodzi ogółem pism peryodycznych polskich 19; nie licząc Rocznika Towarzystwa Przyjaciół nauk, nie licząc takiegoż Rocznika Towarzystwa Naukowego toruńskiego, który dopiero w tym roku po raz pierwszy ma się ukazać, i nie licząc „Gońca Wielkopolskiego,” który przestał wychodzić, a wychodził tylko kilka miesięcy, i nie licząc, nareszcie, tak nazwanej „Gazety Leckiej,” wychodzącej w Prusach Wschodnich w Ełku, pisma wydawanego dla tamtejszych mazurów, redagowanego przez niemców tendencyjnie w tak okropnym polskim języku, że czytając, włosy na głowie dębem stają. Z tych tedy *dziewiętnastu* pism peryodycznych, *jedenaście* jest *ludowych*. Zwróciwszy teraz uwagę na tę okoliczność; że polaków pod pruskim rządem znajduje się przeszło trzy miliony, trzeba przyznać, że jedenaście pism ludowych w stosunku do takiej ludności, rzuca bardzo korzystne światło na umysłowy poziom tutejszego ludu. Poziom ten jeszcze w lepszem przedstawi się świetle, jeżeli jest faktem, że te pisma ludowe posiadają ogółem 20,000, podczas kiedy reszta tutejszej prasy peryodycznej ma tylko około 8,000 abonentów, chociaż poświęcona jest potrzebom inteligencyi. Przypuściwszy teraz, że jeden egzemplarz pisma ludowego czytany jest przez 25 osób, a jeden egzemplarz pisma inteligencyi przez 15 osób to będziemy mieli, że pisma ludowe tutejsze posiadają czytelników w ogóle mniej więcej 400,000, gdy tymczasem reszta pism tutejszych posiadać będzie tylko 120,000 czytelników. Przypuszczenie, że jeden egzemplarz pisma ludowego na 20 czytelników, nie jest wcale cyfrą wygórowaną, jeżeli zważymy, że jeden taki egzemplarz prenumerowany jest przez dwóch, a nawet trzech włościan, że czytają go, lub słuchają całe rodziny i, że oprócz tego każda karczma abonuje jakieś pismo ludowe.

Wracając do tutejszej prasy ludowej, łatwo zrozumieć, że przy takim stanie rzeczy, posiada ona możność wywierania wielkiego wpływu na lud, i wywiera go też w istocie. Poszanowanie słowa drukowanego przez tutejszego chłopa i bezwarunkowa wiara w to, co „stoi” w piśmie, jest tak wielkie, że, chyba tylko jeden ksiądz z ambony, potrafiłby osłabić tę wiarę... Wiara ta jednak, opiera się na zaufaniu do ludzi, co te „gazety piszą,” bo jeżeli np. jacyś *kulturträgerowie* w niskich politycznych celach, umyślnie pomiędzy lud rozrzucą jakieś odezwy w polskim języku, to lud wybornie umie je ocenić, i na wędkę złapać się nie da... Wykształcił on się już na tyle, że odróżni ziarno od plewy i jak się sam wyraża: „przez ścianę poczuje *niemca*.“

Niemcy wcale nie lekceważą ludu tutejszego; przeciwnie we wszystkich swoich *kulturträgerskich* robotach biorą go w rachunek... Dowodem wydawanie dwóch stałych pism ludowych przez niemców, za pośrednictwem których chcą wpływać na ten lud, choć im się to nie bardzo udaje. Mówię „nie bardzo,” ponieważ tak nazwana „Gazeta Lecka” zrobiła do pewnego stopnia swoje... Jak powiedziałem, wyżej, wychodzi ona w Ełku; w okolicach tego miasteczka, leżącego w Prusach Wschodnich, mieszka garstka *mazurów*, którzy od bardzo dawna przeszli na wiarę luterską. Dla tej tedy garstki wydawana jest „Gazeta Lecka,” która z pomocą środków administracyjnych, edukacyjnych i policyjnych, potrafiła do reszty zdemoralizować tę gromadę ludu odciętą od pnia i oddawna nie posiadającego z ogółem macierzystym żadnej łączności. Lud to z fizyonomii powierzchownej ponury, a bez przesady można powiedzieć, nijakiej narodowości. Mówi po polsku, ale językiem fatalnie skażonym niemczyzną do czego przeważnie przyczyniła się „Gazeta Lecka.” Zatrawił on tradycye swojej narodowości, ale niemcem też nie jest. Sądziłbym nawet, że szczere i energiczne zajęcie się tym ludem, już w następnem pokoleniu, wydałoby pożądane owoce... Ale o tem, nikt do tego czasu nie pomyślał, głównie dla tego, że jest go bardzo mało, a powtóre luterscy pastorowie, którzy się nim opiekują, są wrogami słowiańskiej rasy i umyślnie działają w tem sposób, aby w ludziach tych zabić godność człowieka. Był czas, parę lat temu, że Towarzystwo Oświaty ludowej, mające siedlisko swoje w Poznaniu, miało zamiar zająć się mazurami na wschodnich Prusach, zamiar jednak ten skończył się na projekcie i dziś tych *mazurów*, uważają tu, jako ludzi na straconej pikiecie...

Drugim dziennICZKIEM wychodzącym w Pszczywie na Szlązku, jest „Szlązak wydawany przez miejscową władzę rządową w dwóch egzemplarzach: po polsku i po niemiecku. Pisemko to nie ma jeszcze najmniejszego wpływu na szląski lud polski i jeżeli je biorą do ręki, to dla tego, że znajdują się w niem ogłoszenia i wiadomości urzędowe, ważne dla każdego tamtejszego mieszkańca, ale „Szlązak” ten nietylko, że nie cieszy się żadnem uznaniem lecz prawie wcale nie jest czytany. Pod względem też języka jest okropny, choć lepszy, jak „Gazeta Lecka;” nawet niemiecki egzemplarz „Szlązaka” nie wiele ma abonentów i czytelników.

Każdego, kto baczniej obserwuje prosty lud tutejszy w chwilach, gdy umysł jego jest jakimś donioślejszym faktem poruszony uderzyć musi punktualność i gorliwość w wypełnianiu obowiązków publicznych, czego gdzieindziej darmobyś szukał... Kobiety wiejskie, jakkolwiek usunięte są od życia publicznego, wywierają one jednak wielki wpływ na swoich mężów, synów, braci, a nawet... kochanków... Widziałem na własne oczy w Toruniu, jak żona, nie dowierzając mężowi, bo ten lubiał sobie zaprószyć głowę, gdy się dostał do miasta nie odstępowała go, ani na krok dopóki kartki polskiej nie wrzucił do urny wyborczej...

— Moja Małgośka, mówił taki mąż, któremu widocznie ckliwo się robiło *na wnętrzu*, moja Małgośka, ino jednego przed tem, nim pójdę wrzucić kartkę...

— O, nie bajałbyś po próżnicy, a szedł prędko zrobić, co Bóg i dobrzy ludzie każą...

— No toć ja zrobię, ale dla fantazyi, to by nic nie zaszkodziło... Widzisz z niemcami, to trzeba śmiało, a tak na sucho...

— Juści, niby ja nie wiem, że kiej sobie pałkę zalejesz, toś głupi, jak nie przymierzając, pies... Ano, nic z tego, jak kartkę oddasz, to ja ci sama kupię, a teraz kiedy powiadam że nie, to nie...

Chłop się w głowę podrapał i poszedł dalej...

Kronika Naukowa.

przez H. K.

Torpedy. Torpedy odporne i zaczepne. Przyrządy Laya, Eriksona i Whiteheada. Najnowsze systemy i statki torpedowe.

Nauka której prace tylko pokojowemi być by powinny, a celem jedynie dobro ludzkości, na nieszczęście zużytkowana została, zwłaszcza w ostatnich czasach, i na cele wojenne, przyczyniają się do udoskonalania niszczących środków i zabójczych narzędzi. Od chwili rozpoczęcia Wschodniej wojny, nowe, nieznane dotąd przyrządy, zostały użyte, a w skutkach swoich okazały niezmierną niszczącą potęgę, o jakiej dotąd pojęcia prawie nie miano. Słowa *torpeda*, *statek torpedowy*, mające coś w sobie straszliwego, tajemniczego, spotykają się na każdej prawie szpalcie teraźniejszych dzienników. Tu olbrzymi okręt, cały okryty stalowym pancerzem którego największa kula stożkowa, mająca wagi do tysiąca funtów i więcej, rzucona z siłą kilkuset funtów prochu, przebić nie może, dumnie i bezpiecznie spoczywa na cichych wodach, a w tem niedostrzeżony prawie nieprzyjaciel korzystając z mgły lub ciemności, podpływa na malutkiej łódce, podsadza torpedę i w jednej chwili żelazny olbrzym wylatuje w powietrze, rozpada się zdruzgotany i tonie w głębiach morskich wraz z li-

czną osadą. Tu znowu po spokojnych toniach żegluje cała flota i zbliża się do nieprzyjacielskiego portu, mieszkańcy truchleją na myśl iż wkrótce grad kul i bomb ognistych zniszczy ich domy, pozabija ludzi; ale na dnie morskim leżą małe, niewidzialne torpedy, drutami tylko z brzegiem połączone. Już jeden okręt po nad nią przepływa, iskra elektryczna przebiega po drucie, głuchy podwodny huk daje się słyszeć, olbrzymi słup wody wznosi się do góry, okrętu nieprzyjacielskiego już nie ma; inne przestraszone co. prędzej na pełne morze uciekają, miasto ocalone.

Czemże są te straszliwe torpedy? w kilku słowach postaramy się dać odpowiedź na to pytanie: Kiedy około dwudziestu lat temu poczęto okrywać okręty wojenne żelaznemi pancerzami, aby je od pocisków nieprzyjacielskich zabezpieczyć, czego przykład dała Ameryka w czasie swej wojny domowej, starano się także zwiększyć siłę strzałów armatnich, ażeby te pancerze przebić można. Coraz więc grubsze na okrętach dawano pancerze, tak że z trudnością poruszać się mogły dla wielkiego ciężaru, i także coraz to większe odlewano działa. Zapewne ciekawą będzie wiadomość do jakiej wielkości dochodzą dzisiejsze armaty. Największa z istniejących dotąd odlaną została w Woolwich, waga jej wynosi 160,000 funtów, pocisk waży 1,700, a nabój potrzebuje 425 funtów prochu. Obecnie Krupp, ów sławny fabrykant stali w Prusach, buduje działo które ważyć będzie 250,000 funtów i rzucać kule 2,000 funtów ważące.

Na takie olbrzymy nauka inżynieryi wymyśliła karły, ale karły niezmierną siłą wybuchową obdarzone. Tą siłą jest dynamit czyli nitrogliceryna, która w małej objętości o bardzo wiele siłę prochu przechodzi; karłami zaś są torpedy.

Bywają one dwojakie: odporne i zaczepne. Odporne układają się na dnie morza i służą do obrony brzegów w miejscach dość płytkich. Są to cylindry żelazne napełnione dynamitem, drążek od nich idący wznosi się o tyle aby płynący okręt o niego potrącił. To potrącenie wywołuje wybuch torpedy. Z powodu jednak że i własne okręta mogą na owe torpedy natrafić, drążek skasowano, a torpedy w wodzie zanurzone połączono drutem ze stacyą na brzegu będącą. Gdy nieprzyjacielski okręt nadpłynie po nad torpedę, oficer dyrygujący stacyą naciska guzik odpowiedni, który łącząc na chwilę drut torpedy ze stosem elektro-galwanicznym, puszcza po nim iskrę elektryczną: ta w jednej chwili rozpala kawałek gąbczastej platyny znajdującej się w torpedzie, następuje wybuch i okręt ginie w odmętach morza. Ażeby w wielkiej często odległości módz wiedzieć z matematyczną pewnością kiedy okręt znajdzie się zupełnie po nad torpedą, na stacyi jest mapa brzegu, na której czarnemi punktami oznaczają się miejsca gdzie zanurzone są torpedy. Rodzaj wielkiej *ciemni optycznej* (camera obscura) rzuca na tę mapę obraz morza wraz z przesuwającemi się po niem statkami. Kiedy na utworzonym ztąd obrazie, żeglujący okręt znajdzie się na jednym z czarnych punktów, pilnujący oficer przyciska odpowiedni mu guzik i rzecz skończona.

Jakkolwiek dowcipnie obmyślane, ale i tego rodzaju torpedy nie są zbyt straszne: nieprzyjacielskie okręty wysyłają naprzód nurków dla zbadania brzegów, ci odziani w *skafandry*, przyrządy przy pomocy których mogą chodzić po dnie morza i pod wodą przebywać, wyszukują torpedy i dość przeciąć drut aby uczynić je nieszkodliwemi.

Zatem poczęto pracować nad urządzeniem innych, zwanych *zaczepnemi*, które puszczone same w kierunku nieprzyjacielskiego okrętu, płyną pod wodą a uderzywszy o bok statku, rozrywają sprawiając w nim wyłom potężny. Anglik Whitehead-Luppis pierwszy zbudował taką torpedę, w niej powietrze zgęszczone nadaje ruch małej helisie, która ją naprzód pędzi, a w części przodowej mieści się nabój dynamitowy wybuchający za uderzeniem. Ster ustawia się w potrzebnym kierunku i przyrząd może o własnej sile ubiedz kilka mil morskich. Byłby on doskonały gdyby nie ruch fal morskich które mogą go zwichnąć z nadanego kierunku. Rząd pruski zakupił u niego sekret urządzenia tych torpedów, ale doświadczenia w tych czasach na wielką skalę z niemi czynione, w obecności ministra marynarki, nie wydały pomyślnych rezultatów.

Lay i Erickson inżynierowie amerykańscy, znacznie ulepszyli tego rodzaju torpedy. Torpeda Laya wygląda jak olbrzymie cygaro żelazne, na dwadzieścia dwie stopy długie, a na trzy szerokie, płynie szybko na powierzchni wody za pomocą zapasu zgęszczonego kwasu węglanego, który z wielką siłą dążąc do przejścia w stan gazowy, porusza małą helisę; przyrząd za pomocą drutu elektrycznego połączony jest z brzegiem albo z łodzią z której się puszcza, a służy do otwarcia klapy wpuszczającej gaz węglany do szruby, przy tem i do kierowania torpedą; drut ten rozwija się w miarę jej biegu, daleko więc pewniej działać może, a przebiega o własnej sile dwie mile morskie. Ericksona zaś torpeda ma tę wyższość że płynie pod wodą za pomocą zgęszczonego powietrza, które pompuje się z brzegu albo ze statku i dochodzi do niej przez rurkę kauczukową rozwijającą się w miarę jej oddalania, może więc płynąć póki rurka starczy; osobny przyrząd dozwala nią kierować. Ażeby módz śledzić za jej biegiem, wystaje nad wodą okrągła deszczułka od strony nieprzyjaciela na szaro malowana, z przeciwnej zaś na biało.

Oprócz tego są jeszcze statki i łodzie torpedowe, te właśnie które w obecnej wojnie tak się odznaczyły i tyle szkody uczyniły monitorom tureckim na Dunaju. Są to łodzie parowe jak najmniejszych rozmiarów, przez kilku ludzi obsłużone, zwinne i szybkie i o ile można od strzałów zabezpieczone. Są one uzbrojone tylko w torpedy, które na długich drągach z ich przodu się wysuwają pod wodą, a uderzywszy o statek nieprzyjacielski, wybuchają sprawiając szeroki wyłom w jego boku. Siła wybuchu odpycha łódź w tył, nie mniej przeto narażoną jest ona na wielkie niebezpieczeństwo, tak od samego wybuchu, jak i od nieprzyjaciela gdy ten łódź spostrzeże. Napady takie, niezmiernie niebezpieczne dla największych statków pancernych, mogą tylko udawać się w nocy, lub przy osłonie mgły gęstej, i gdy marynarze na łodziach atakujących są na niechybną prawie śmierć przygotowani, a więc zdeterminowani na wszystko. Bronią się od tych torpedowych łodzi otaczając statki metalowemi siatkami, na pewną odległość wystającemi, które wprzódy przerwane być muszą nim torpeda dostanie się do boku okrętu.

Obecnie wszystkie rządy posiadające znaczniejsze marynarki wysilają się nad wynalezieniem coraz to straszniejszych środków tego rodzaju, czy to zaczepnych czyli też obronnych, i każdy posiada jakiś system torpedowy starannie w sekrecie utrzymywany: W Stanach Zjednoczonych nawet założono osobną szkołę torpedową. Tamże zbudowano niewielki statek zwany *Alarm*, na którym nagromadzono wszystko co tylko najbardziej niszczącego być może; według zdania specyalistów najpotężniejszy pancernik nie będzie w stanie oprzeć się jego napadowi. Ciekawy jest opis tego statku, oraz sposobu w jaki on ma na nieprzyjaciela uderzać, będąc przeznaczony tylko do obrony brzegów, gdyż w dłuższej podróży na morzu nie jest zdatny. Długość Alarmu wynosi tylko 86 łokci, a na półtora łokcia wystając nad wodą, zbyt małą powierzchnię przedstawia uderzeniom pocisków nieprzyjacielskich; zresztą cały jest pokryty żelaznym, spadzistym dachem. Tak zaś jest zbudowany że nawet przebity kulą zatonąć nie może, gdyż składa się z oddzielnych części hermetycznie od siebie oddzielonych. Machina parowa jest ogromnej siły, a rudel osobnego rodzaju czyni go niezmiernie szybkim i zwinnym, pomimo takiego zagłębienia w wodzie. Na wierzchu nie widać ani żywej duszy, tylko kapitan ukryty w budce sternika od kul zabezpieczonej, kieruje ruchami i manewrami statku za pomocą telegrafu którym rozkazy swoje do jego różnych części przesyła. Alarm uzbrojony jest tylko w jedno olbrzymie działo na przodzie i w potężną ostrogę czyli taran stalowy pod wodą tak nisko umieszczony ażeby mógł w część nieopancerzoną okrętu uderzyć: po bokach zaś ma kartaczownice i torpedy na długich żelaznych drągach wysuwane. Atak odbywać ma tylko w nocy. Wtedy podpływa w cichości do upatrzonego przeciwnika, a zbliżywszy się, raptem rozpala na swoim przodzie silne elektryczne światło, które olśniewa przeciwnika i oświeca go gdy Alarm pozostaje w ciemności, wtedy na bliskim już dystansie daje strzał ze swego olbrzymiego działa i całą siłą pary rozpędzony uderza go swą ostrogą. Poczem zwraca się bokiem, kartaczownice jego gradem kul zasypują pokład nieprzyjacielski, a z boków wysunięte torpedy czynią wyłom w jego ścianach; wybuch torpedy Alarm w tył odrzuca, ale on wraca znowu aby dobić nieszczęśliwego olbrzyma który mu nawet szkody uczynić nie jest w stanie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 11 (23) Августа 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 34.

(Dokończenie).

Pączki tak samo jak kwiatki zaczynają się od pentelki



N. 1. Gałązka bzu, wzór kwiatów z włóczki. Patrz ryc. 2—7.



N. 8. Czepeczek z wysoką główką.

odzierganej stosownie do wielkości 8 lub 6 zadziergnięciami; następnie w koło daje się 6 lub 8 pentelek, (podług ryc. 6), które przewłóczy się nitką w górze i zciąga na długi węzeł stanowiący górną część pączka. Ryc. 8 wskazuje sposób do robienia listków, które wiążą się w górze jak do kwiatków, a następnie łączą razem jako zupełnie zamknięte albo trochę otwierają, jak na ryc. 1. Po objaśnienia co do roboty liści, odesłać musiemy do numerów z roku 1874.



N. 10. Vêtement wycięte kwadratowo.

łożonego w równe fałdki do 50 cent. obwodu, i wszytego w wązki pasek z agremanem. Dwie 4 cent. szerokie jedna na drugiej dane, drobniutko plisowane falbanki, stanowią garnirunek, którego przyszycie przykrywa upięcie z muślinu, na które składa się wzdłuż we dwoje skośny, 50 cent. długi a 30 szeroki kawałek, z tyłu gładko od środka położony, a z przodu tak w końcach skośnie ściętych jak i w brzegu podłużnym, ułożony w równe głębokie fałdy. Zeszycie ściśle zchodzących się fałd, przykrywa zręcznie upięta kokarda ze wstążki w trzech cieniach.



N. 9. Kapelusz wysoki z płaskiem rondem.

N. 9. Kapelusz z rondkiem płasko do głowy przystającem.

Rondko 5 cent. szerokie słomkowego kapelusza, podszyte jest plisowaniem z blado niebieskiej „Cre-



N. 11. Suknia z odznaczonym paletocikiem.



N. 7. Zaczęcie pączka do ryc. 1.



N.2. Środek dziergany na zaczęcie kwiatka ryc. 1.



N. 6. Czterolistny kwiatek bzu ryc. 1.



N. 3. Zaczęcie pierwszego listka przy środku dzierganym.



N. 4. Wykonanie drugiego listka.



N. 6. Drugi rząd na pączek do ryc. 1.

N. 8. Czepeczek z wysoką główką.

Oryginalny czepeczek naśladujący szpiczastą główkę od kapelusza, układa się na foremce, zrobionej z owalnego denka sztywnego tiulu, mającego 24 cent. długości a 22 szerokości, u-

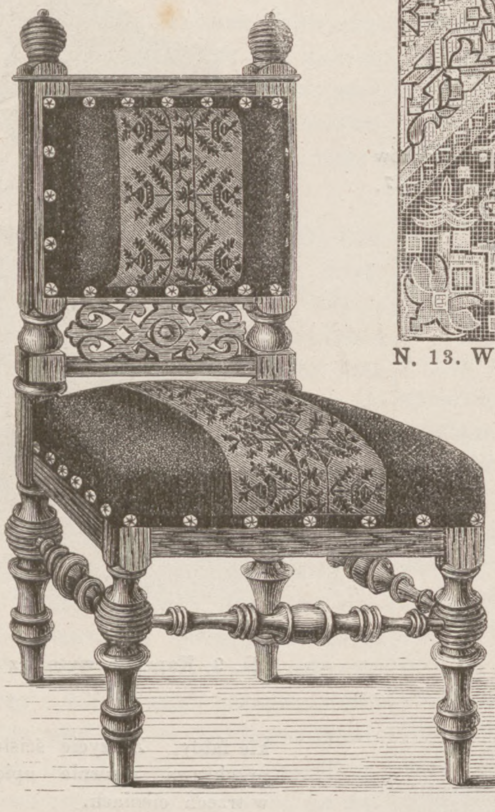


N. 12. Suknia z kirasem i tuniką ułożoną wachlarzowo. Patrz ryc. 37.

pe-lisse„ z wierzchu prawie pokryte żółtawą, trochę nadmarszczone koronką. Na blado-niebieskiej, 6 cent. szerokiej wstążce, opasanej w koło główki i związanej z tyłu w długi pukiel z końcami przypięty jest wieniec z kłosów. Wyżej na główce z prawego boku, przypięty kokardą bukiecik niebieskich kwiatków.

N. 10. Vêtement z wykrojem kwadratowym.

Przy ubraniu z klarownego batystu albo płótna écru, vêtement ozdobione jest wstawkami, odrobionemi wzdłuż w odstępie 9 ciu cent. wprost na materyale, z podłożeniem tiulu. Haft łańcuszkowy odrabia się w maszynie przed wykrojeniem vêtement, i wycina w ten sposób ażeby deseń został matowy a tło tiulowe; następnie pod wstawki poddaje się paski kolorowego perkalu, np. niebieskie albo ponsowe. Na modelu przy wszystkich szwach, dane były białe wypustki ze sznureczkiem. Takiemiż wypustkami bez sznureczka objęte było plisowanie przy pół-długich rękawach i przy wykroju szyi. Koronka niciana i kokardy z ponsowej lub niebieskiej wstążki, dopełniają przybranie.

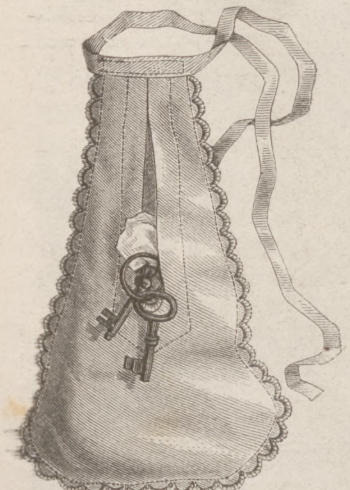


N. 14. Krzesło z pasem wyszytym krzyżykami podług ryc. 20. w N. 33.

Biały ryżowy kapelusz ubrany czarnym aksamitem i repsem, i białemi piórami. Długie czarne siatkowe mitenki, a do zarzucenia biała chusteczka z jedwabnej krepy.

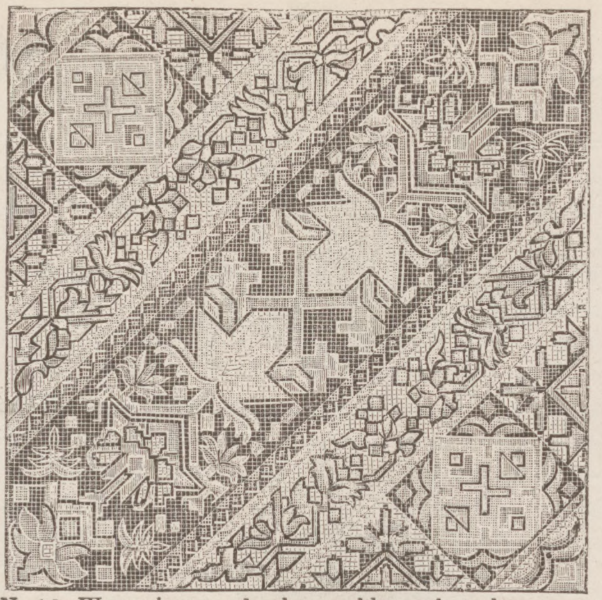
N. 11. Suknia z odznaczonym paletocikiem.

Na sukni formą princesse, odznaczony jest garnirunkiem paletocik paskiem przepasany. Do tej formy nie daje się z przodu zaszewek. Naszycie paletocikowe, dane jest z tyłu w odstępie 85 cent. od wykroju szyi; do każdej połowy pleców mającej w tem miejscu 27 cent. szerokości, podaje się pod naszyciem 25 cent. materyału, któren założony w szeroką kontrafałdę, dodaje trenowi potrzebną objętość. Z przodu zeszywa się suknię aż do naszycia paltocikowego, od którego w górę dane są plisy i urządzone zapięcie na guziki. Na modelu przy sukni z perkalu w szafirowe i popielate paski,

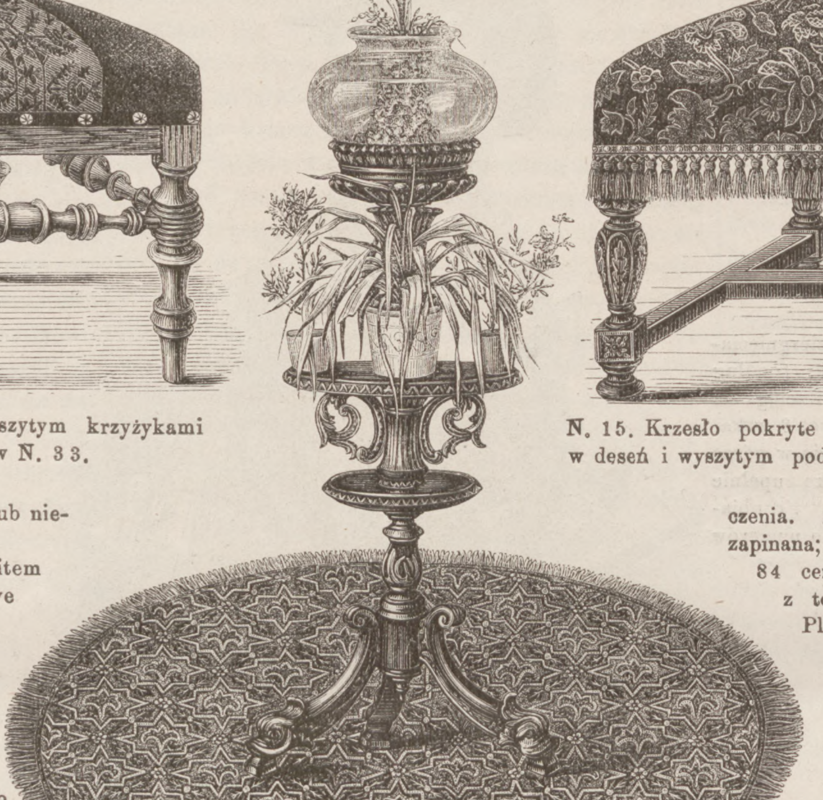


N. 18. Kieszonka do przywiązania pod suknią.

plisy 7 i 6 cent. szerokie były z perkalu szafirowego, a plisowanie 8, 5 i 3 cent. szerokie, z tego co suknia materyału. Kieszonka ozdobiona szafirowem trójkątem, miała 14 cent. długości, u góry 17, a u dołu 19 cent. szerokości.



N. 13. Wyszycie na poduszkę, meble, robota krzyżowa.



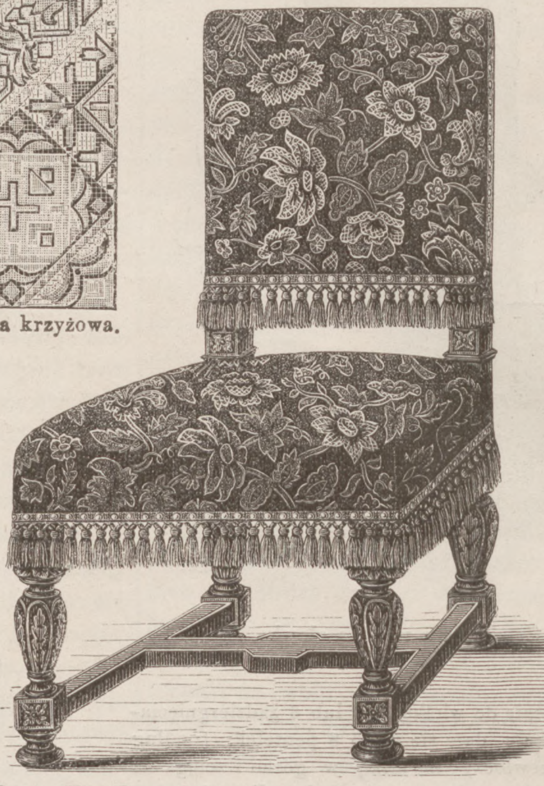
N. 16. Dywanik owalny pod mały stoliczek. Haft na materyale wytłaczanym w deseń, patrz ryc. 17.



N. 17. Haft na materyale wytłaczanym w deseń do ryc. 16.

N. 12. Suknia z tuniką wachlarzową i długim kirasowym stanikiem. Zobaczyć zmniejszony rysunek i miary tuniki na ryc. 37.

Przy sukni z jasno-niebieskiego Wiedeńskiego płótna, galony czyli plisy 6 cent. szerokie, są z batystu jasno écru, wyszyte (na podłożeniu kanwy), ściegiem krzyżowym, najlepszą ponsową i niebieską bawełną. Przy szwach stanika z bardzo długą baskiną wypustki są z batystu écru. Przody ozdobione na sposób bretońskiego kostiumu, zapięte są nieznacznie pod przybraniem. Krój stanika podług formy do ryc. 25—26 w N. 32.



N. 15. Krzesło pokryte materyałem wytłaczanym w deseń i wyszytym podług ryc. 22 w N-rze 33.

Miary tuniki złożonej z przodu i klinów bocznych podane są na ryc. 37, gdzie oznaczone jest także miejsce listewki do przymarszczenia. Z tyłu tunika nie jest zeszyta tylko na osobie zapinana; z boków do paska tuniki przyszyte szarfy 84 cent. długie a 15 szerokie, są uszyte podwójnie z tego co suknia materyału, z wypustką écru. Plisowanie przy spódnicy ma 8, a przy tunice 6 cent. szerokości.

N. 13—17 i N. 20—22 w **N. 33 Tygodnika Mód. Haft** na meble krzyżykowy i haft płaski na materyale wytłaczanym.

Nie tylko na bieliznę lecz i na meble, co raz więcej upowszechnia się haft krzyżykowy, odrobiony w starodawnym guście, na materyale meblowym, z podłożeniem kanwy. Na wszelkich zaś materyałach wytłaczanych dodaje się haft płaski, sznureczkowy i ściegiem długim któren przedstawia się bardzo ozdobnie i bogato. Na powyżej wzmiankowanych rycinach podajemy modele i próbki podobnego haftu.

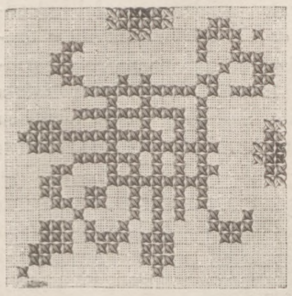
N. 13 Robota krzyżowa na poduszkę.



N. 19. Kieszonka do vêtement.

Ryc. 13 przedstawia w zmniejszeniu deseń do roboty krzyżowej na tle kanwowem, w naj-

modniejszym dzisiaj rodzaju, przypominającem dawne dywany i obicia. Piękność tych robót zależy na nader umiejętnym doborze przymglonych i matowych kolorów i cieni, cudnie zlewających się w jedną harmonijną całość. Opisać tych kolorów niepodobno, lecz w doborze kierować się trzeba widokiem zaczętych robót i materyałów, znajdujących się w pierwszorzędnych składach.



N. 20. Narożnik do ryc. 9 w N-rze 33.

N. 14 i ryc. 20—21 w N. 33. Krzesło z pasem haftu krzyżowego na materyale gładkim.

Krzesło dębowe roboty snycerskiej obite gładkim pluszem koloru mchu, z pasem sukiennym jaśniejszego cieniu, na którym ciemniejszemi włóczkami, ściegiem krzyżowym, odrobiony jest deseń podany na ryc. 20. Ryc. 21 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę roboty i pasek środkowy deseniu.

N. 15 i ryc. 22 w N. 33. Krzesło ozdobione haftem na materyale wytłaczanym.

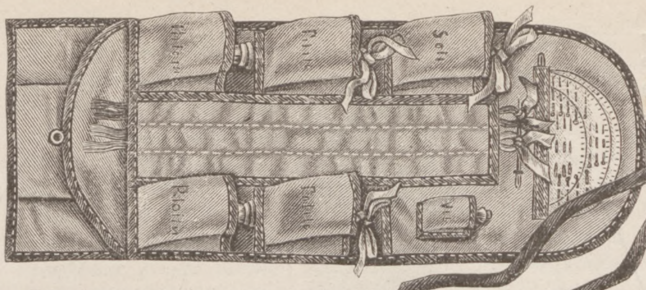
Na pluszu krótko strzyżonym lub aksamicie wytłaczanym „Velours frappe", z pomocą trochę pracy i starania wykonać możemy nader piękną robotę, ogato pokrywającą meble. Ryc. 15 przedstawia krzesło fasonem „*Henri III*" pokryte wytłaczanym aksamitem koloru rubinowego, na którym haft odrabia się filozelą do cieniu w tym co obicie kolorze, albo też odmiennemi dobrze od tła odbijającemi kolorami. Próbkę ściegów rodzaj deseniu i roboty podajemy na ryc. 22 w N. 33, na niej i na ryc. 15 widzimy że niektóre liście i kwiaty są prawie zupełnie zaszyte, u innych zaś tylko kontury i żyłki odznaczone ściegiem sznureczkowym. Do tego rodzaju haftu bierze się filozelę cztero-nitkową, a do ściegu sznureczkowego jedwab kordonkowy.

N. 16—17. Dywanik pod mały stoliczek, postument do kwiatów lub t. p.

Chociaż ten rodzaj roboty byłby nie stosowny na dywany, jako nie trwały, jednak pod maleńkie lekkie stoliczki lub t. p. używany jest jako bardzo ładny i ozdobny. Dywaniki takie stanowić także mogą ładne przykrycie stoliczków lub etażerek. Ryc. 17 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę wytłaczanego materyału „Velours frappe" i rodzaje ściegów odmiennych jak na ryc. 15, które także do mebli są właściwe. Ryc. 16 przedstawia dywanik robiony na tle oliwkowym, kwiaty filozelą dwu nitkową



N. 29. Negliż złożony ze spódnicy i penioaru.



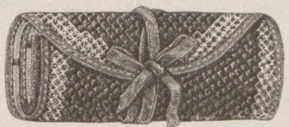
N. 22. Neseser podróżny otwarty. Patrz ryc. 16.



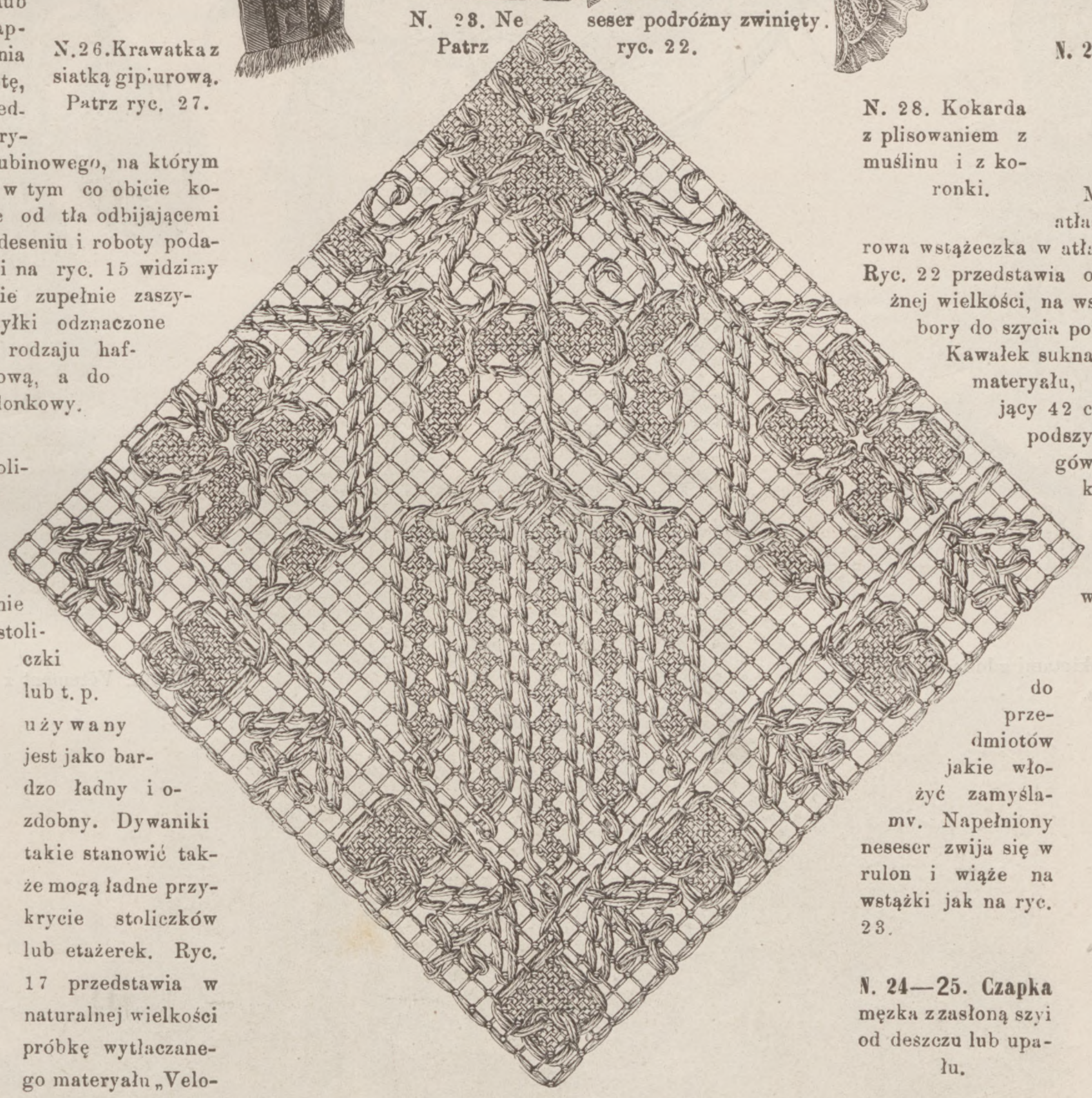
N. 24. Czapka z nakryciem szyi. Patrz ryc. 25.



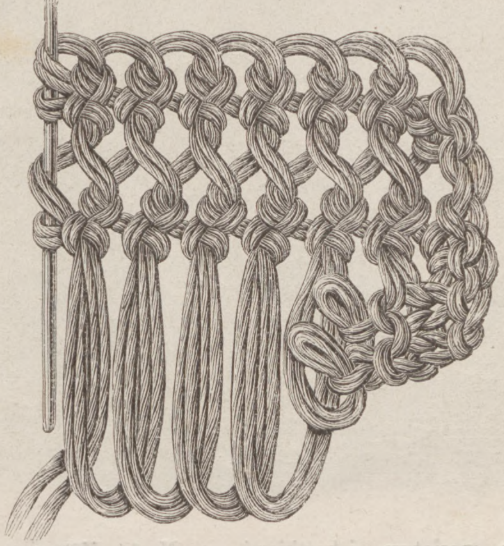
N. 26. Krawatka z siatką gipiurową. Patrz ryc. 27.



N. 23. Neseser podróżny zwinięty. Patrz ryc. 22.



N. 27. Część siatki do ryc. 26 (filet antique).

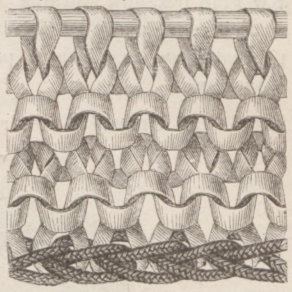


N. 21. Frendzla robiona na drutach do kołdry ryc. 9.

różową i niebieską, promienie gwiazd i liście oliwkową, małe gwiazdki i muszki rubinową.

N. 18. Kieszeń do wiązania pod suknią.

Kieszeń zeszywa się z dwóch równej wielkości kawałków białego perkalu, mających 45 cent. długości, 24 cent. dolnej, a 9 górnej szerokości w zwierzchniej połowie daje się rozporek 20 cent. a brzeg górny wszywa w listewkę z tasiemkami do wiązania.



N. 25. Robota na drutach z tasiemeczki do ryc. 24.

N. 19. Kieszeń do vêtement.

Kieszonkę układa się z kawałka mającego 31 cent. długości a 44 szerokości, od dołu równo ku brzegom 8 cent. zaokrąglonego a z brzegów podłużnych zciętego skośnie do 36 cent. górnej szerokości. Kształt wskazany otrzymuje się przez zręczne ułożenie fałd kieszonkę kraje się podwójnie albo podszywa materyą odpowiedniego koloru. Plisowanie, koronka i kokardy stanowią przystrojenie.



N. 28. Kokarda z plisowaniem z muślinu i z koronki.

N. 20—21. Narożnik i frendzla do ryc. 9 w N. 33.

N. 22—23. Neseser podróżny.

Materyał: sukno, matelasse, albo atlas, cienkie płótno niewarowe, kolorowa wstążeczka w atłasie, jedwab do szycia. Ryc. 22 przedstawia otwarty neseser z kieszonkami różnej wielkości, na wszelkie podręczne drobiazgi i przybory do szycia potrzebne w podróży. Kawałek sukna, skóry amerykańskiej lub innego materyału, ozdobiony haftem lub gładki mający 42 cent. długości a $15^1/_2$ szerokości, podszywa się płótnem niewarowem a z brzegów obejmuje wstążeczką odmiennego koloru. Środek zapełniają kieszonki płócienne z boków na suflet w kontrafałdę zaszyte z brzegów wstążeczką kolorową objęte; wielkość kieszonek stosuje się do przedmiotów jakie włożyć zamyślamy. Napełniony neseser zwija się w rulon i wiąże na wstążki jak na ryc. 23.

N. 24—25. Czapka męzka z zasłoną szyi od deszczu lub upału.

Praktyczni Amerykanie używają w podróży, jako ochrona szyi od deszczu lub upału, przykrycia robionego na cienkich,



N. 20. Negliż z dodaną częścią fałdowaną.

drewnianych drutach, z miękkiej $1/3$ cent. szerokiej plecionki bawełnianej, podług próbki ryc. 24. Przykrycie ma 60 cent. szerokości a 19 długości; do góry dodaje się pasek także z plecionki lub tasiemeczki robiony na drutach, mający 4 cent. szerokości, któren powinien być tak długi, ażeby z łatwością mógł być założony na czapkę, lub zdjęty. Przykrycie to zwęża się trochę w górze, a w koło brzegów obrabia (zarówno jak i pasek) kolorowym sutaszem, łańcuszkiem szydełkowym. Zasłonkę przyrabia się do paska z prawej strony, oczko w oczko sutaszem.

N. 26—27. Krawat z kwadratami z siatki lub koronki.

Ryc. 27 podaje trochę więcej jak $1/4$ część kwa-



N. 32. Suknia z kołnierzem i mankietami zdobnemi niciana koronką.

dratu siatkowego, zakończonego w koło szlaczkiem, któren z zewnętrznych brzegów tylko pikotami oszyć trzeba. Dwa takie kwadraty wszywają się do kawałka muślinu, któren zasłaniają kokardy ze wstążki. Podobne kwadraty można z dwóch brzegów zakończyć zębami, albo zastąpić kwadratami koronkowemi.

N. 28. Krawat z koronki i plisowania.

Krawat żabotowy układa się na podwójnym pasku muślinu 20 cent. długim a 3 szerokim, do którego przyszywa się plisowanie z crêpe-lisse na żabocie wzdłuż w kontrafałdy, w górze zaś wachlarzowo ułożone,



N. 31. Bluzka fularowa.

oraz koronka marszczona 6 cent. szeroka. Kokarda z wstążki 6 cent. szerokiej z jednej strony Serge, drugiej atłasowej, w miejsce węzła przegarnirowana koronką.

N. 29. Spódnica i penioar. Krój penioaru podług ryc. 2 w N. 32 Tygodnika.

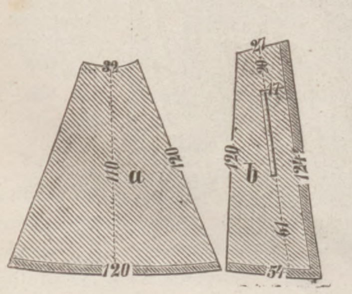
W miejsce białego batystu z jakiego model był odrobiony, można użyć dymki lub brylantyny w drobny rzucik, zachowując taki jak na modelu garnirunek. Marszczona falbana u spódnicy miała 13 cent., plisowanie nad nią i u dołu penioaru 10, inne 6 i 2 cent., koronki hiszpanskie 6 i2,



N. 33. Vêtement z dwóch chustek beżowych. Patrz ryc. 34—35.

a wstawka 3 centymetry szerokości. Na zeszyciu wstawek z koronką i wązkiem plisowaniem, i na plisowaniu z nagłówkiem dane pliski wązkie stębnowane. Pod wstawki można dać podwleczenie tego co kokardy koloru. Penioar ma 75 cent. długości przodów 90 z tyłu a 170, 180 dolnej szerokości. Spódnicę kraje się podług formy spódnicy do sukni, tylko trochę węższą i z małym trenem.

(dok. nast.).

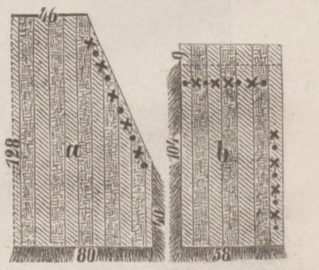


N. 37. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 12.



N. 36. Suknia ze stanikiem wyciętym i krótkiemi rękawkami.

N. 34. Vêtement zrobione z dwóch chustek beżowych. Patrz ryc. 33 i 35.



N. 35. Wskazanie kroju vetement ryc. 33 i 34.